

MARIA KOWNACKA

ROGAŚ Z DOLINY ROZTOKI

DZIECIŃSTWO

Urodził się w nieprzebytych gąszczach stoku góry Radziejowej, tam gdzie opada ona gwałtownie ku huczącym po kamieniach w dole Małej i Dużej Roztokom Ryterskim.

Piękna i bujna była jego górzysta ojczyzna.

Ale on wcale o tym nie wiedział. Nic dziwnego: był przecież tylko małym, upstrzonym jasnymi plamkami koziołkiem na patykowatych nóżkach.

Miał czarne, wilgotne, jakby lakierowane, chrapki i wypukłe, podłużne, ciemne oczy, otoczone firaneczką długich rzęs.

Był synem płowej, szybkoconogiej sarny.

Przez parę pierwszych dni życia był jeszcze tak słaby, że nie opuszczał wcale legowiska ukrytego wśród bujnej zieleni, wtopiony w tę zieleń całkowicie, jak jakaś drobna, rudawa cząsteczka lasu.

Spożywał tam otoczony tkliwą i czujną opieką matki, krążącej nieustannie na straży.

Im wyżej słońce wstępowało na niebo - tym większe koła zataczała sarnia matka wokoło swojego, ukrytego w zieleni, skarbu.

Jeżeli wróg ją napadnie - to niebezpieczeństwo trzeba ściągnąć na siebie, jak najdalej od malca.

Krażyła więc po lesie, łowiąc kosmatymi uszami, nastawionymi na baczność - każdy dźwięk, każdy najlżejszy szmer, chwytając w rozdęte chrapki każdą podejrzaną woń, mogącą zdradzić wroga.

Daleki turkot wozu, jadącego leśną drogą, pohukiwanie dzieci pasących krowy pod lasem, złowieszczy odór, dobywający się z lisich nor ukrytych we wzgórzu - wszystkie te codzienne zjawiska teraz wydawały się jej podejrzaną i przeszywały ją jak prąd elektryczny, że zastygała na chwilę w bezruchu niczym posążek z brązu.

Dopiero po długiej chwili napięcia następowało odprężenie. Tak czujna i baczna cały dzień krążyła, trzymając straż nad dzieckiem.

Ku wieczorowi zaczęła coraz bardziej zacieśniać kręgi, a kiedy słońce skryło się za lasem - odważyła się odnaleźć swój ukryty skarb.

Z dnia na dzień jednak sił mu przybywało i choć był jeszcze ciągle sarnim niemowlęciem, czuł jednak już wtedy doskonale, że leśna trawa, górska koniczyna, zioła i ziółka pachną upajająco, że słońce przesiane przez liście grzeje rozkosznie, że mleko matki jest słodkie i ciepłe, a jej różowy język masuje wspaniale i goi dropiate po dziecinnemu

boczki, poszarpane i zwichrzone wśród jeżynowych i malinowych chaszczy.

Jasnym dniem, szarzącym zmrokiem czy też nocą matka zawsze pomykała przodem, czujna na każdy najdrobniejszy szelest, a on biegł, jak za latarnią, za białym piętnem na jej zadzie.

Tak przed świtem spuszczała się do wodopoju, topiąc swoje odbicia w ogłuszającej szumem Roztoce Ryterskiej, razem wdzierali się na szczyty i przebijali przez nieprzebyte gąszcze.

Kiedy nurkowali w bujnym leśnym poszyciu, jego drobna postać w jasne cętki wsiąkała w zieleń jak słoneczne plamki.

Świat nieraz wydawał się koziołkowi straszny, zwłaszcza nocą, ciemną, ponurą nocą, kiedy z dziennego ukrycia wychodzili na żer.

Nieznane, groźne odgłosy dobiegały z ciemności. Wokoło czaiło się coś nieznanego i groźnego. Ale otuchy dodawał ciepły bok matki, który, zdawało się, murem odgradzał od wszystkich niebezpieczeństw świata.

Czyhało ich na młodego, niedoświadczonego sarnika co niemiara. Był nie lada smacznym kąskiem.

Śledziły go łakomie z kryjówek żółte jak bursztyn, przenikliwe i przebiegłe oczy lisa, zataczały nad nim w powietrzu koła wielkie ptaki drapieżne o potężnych szponach i hakowatych dziobach, z gałęzi czatowały na niego wysmukłe drapieżnice - kuny, z nor - gibkie i zwinne łasice chciwe jego krwi.

Ale matka, zawsze obecna i baczna na wszystko wokoło, umiała go prowadzić bez uszczerbku przez zasadzki i śmiertelne niebezpieczeństwa, na jakie narażone jest każde dziecko lasu.

Gdy najdrobniejszy szmer zaniepokoił matkę - sarnę, wydawała ona specjalny, ostrzegawczy pisk albo energicznie tupiała raciczką, co w tłumaczeniu na nasz język znaczyło zapewne:

„Baczność! Wróg w pobliżu! Padnij! Przyczaj się! Stań się niewidoczny!”

Koziołek wypełniał polecenie matki błyskawicznie: wtulał się w poszycie lasu i nieruchomiał, po prostu znikał z oczu, w czym mu pomagała wspaniale jego rudawa szatka i białe cętki na sierści, łudząco podobne do plamek słońca przesianych przez liście.

A jednak, pomimo stale napiętej czujności, trudno uchronić małego koziołka od przygody w dzikim, pierwotnym, pełnym ukrytych zasadzek lesie.

Nikt nie potrafiłby sobie zdać sprawy, jak i kiedy się to stało, że kasztanowata, leśna rozbójniczka - kuna - przyczajona na gałęzi buka - zdołała beczelnie napaść małego sarnika.

Koziołek nie zdążył nawet jeszcze pisnąć, po swojemu wzywając ratunku, a napastniczka nie zdążyła wpić mu się, kunim zwyczajem, zębami i pazurami w gardło, kiedy matka, szybciej niż myśl, już była przy małym, już, bojowo wspięta na tylnych nogach, grzmociła przednimi racicami wroga.

Żaden mistrz - werblista nie potrafi chyba z taką błyskawiczną szybkością barabanić pałeczkami w bęben, jak posypały się gradem uderzenia czarnych, silnych raciczek na grzbiet napastnika.

Łup - cup - cup! padały gęsto dobrze wymierzone ciosy. Po napastniczce w sekundę nie zostało nawet śladu, znikła tak, jak się pojawiła, a koziołek zdrowy i cały przywarł do boku matki.

Na dzienny wypoczynek matka przygotowywała gdzieś w leśnych gąszczach legowisko, starannie odgarniając raciczkami ściółkę i wierzchnią warstwę ziemi. Jakże wygodnie, miło i bezpiecznie było drzemać sobie po nocnym koczowaniu za żerem, w przytuleniu do matczynego boku, kiedy naokoło toczył się dzień powszedni lasu.

Dzięcioły kuły zamaszycie w stare jodły, czarne jak kominiarczyki górskie wiewiórki uganiały się po konarach, gdzieś z wysokości czubów drzew płynęła rześka pieśń drozda - śpiewaka, a smukłe jaszczurki o złocistych oczach wylęgały grzać się w słońku na zmurszałych pniach, wśród paproci, marzanek i dzwonków leśnych.

Po długim wypoczynku matka podnosiła się z wolna, przeciągała rozkosznie i zabierała się do czyszczenia swojej pięknej, płowej sukni, liżąc starannie raz przy razie giętki grzbiet i wysmukłe boki.

A potem przychodziła kolej na malca, który poddawał się tym zabiegom z wielką cierpliwością.

Generalne mycie maminym językiem zaczynało się od czarnego noska, potem przychodziła kolej na łeppek, szyję; grzbiecik otrzymywał najmocniejszy masaż, a zabiegi kończyły się dopiero na kosmatych nóżkach.

Dziki mieszkaniec lasu musi być idealnie czysty, żeby zachować sprawność ciała i odorem nie dawać znać o sobie wrogom. Inaczej - zginie.

Tak więc wreszcie czystości i odświeżeni dokonana starannie toaletą szli coś przekąsić, czyli, mówiąc w leśnym języku - udawali się na poszukiwanie żeru.

Za dnia sarny niechętnie opuszczają las. Otwarta, szeroka przestrzeń naraża je na dodatkowe niebezpieczeństwa.

Różne polne przysmaki - jak groch, seradełę, owies, lucernę, młodą koniczynę - trzeba zostawić na żerowanie pod osłoną nocy, ale i w lesie nie brak o tej szczodrej porze roku

delikatnych trawek, młodych gałęzi drzew liściastych, ulubionych przekąsek - złocistych kurek, grzybków pociesznych niby lejki ulepione z wosku, i sarniego przysmaku nad przysmaki - pachnących, rumianych poziomek.

Ostrożność i przebywanie za dnia w lesie zawsze sarnom wychodzi na dobre. Któż jednak może przewidzieć przypadki, jakie pokierują losem mieszkańców boru, pomimo największej czujności z ich strony.

GROZA

Prawdziwa groza przyszła nie nocą, która koziołka zawsze napawała lękiem, a właśnie w najbardziej jasne południe, kiedy słońce stało u stropu nieba, i nie wśród dzikich osypisk i chaszczy szarpiących sierść na strzępki, a na zalanej słońcem, wesołej polance leśnej, kiedy drozd obroźny, z białym półksiężycem na piersiach, rzucał swoją donośną fanfarę na cały las, a maleńka, ruchliwa świstunka leśna, ze swoim wesolutkim trelikiem, nurkowała niczym rybka w wodzie w bukowym listowiu, połyskując białym brzuszkiem.

Matka koziołka, po wypoczynku w legowisku, pomknęła z synem u boku ku tej właśnie, pobliskiej polanie otoczonej zwartym wałem zieleni.

Ale zieleń to nie mur z kamieni. Zawsze się znajdzie jakaś szparka, jakiś maleńki jak dziurka od klucza wyglądek, przez który można zerknąć swoim czarnym, wypukłym okiem, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Czy nic nie mąci spokoju leśnego, normalnego życia, czy nic nie zagraża koniecznością karkołomnej ucieczki nieporadnym jeszcze nóżkom koziołka.

A potem trzeba delikatnie i ostrożnie, końcem pyszczka, rozsunać na dwie strony gałęzie jak kurtynkę w teatrze i powolutku, krok za krokiem, z synem u boku wyjść z ukrycia na tę niewielką, ale - bądź co bądź - otwartą przestrzeń.

Tak, ostrożność to jedyna broń sarniego rodu.

Teraz, po zachowaniu tych wszystkich ostrożności i wynurzeniu się z gąszczu na polanę, można już spokojnie oddać się żerowaniu.

Kwitające łąki leśnych polan w Beskidzie Sądeckim!... Czy może się z nimi równać najwspanialszy kobierzec wschodniego króla z baśni?

Przyziemne ich runo jest zwarte, utkane z mchów, stokrotkowych rozetek, liści pierwiosnka i babki, wyżej pną się różowoliliowe, koronkowe guziczki jarzmianki, powiewne dzwoneczki, czerwone i białe koniczyny, złocienie, firletki, a jeszcze wyżej chwieją pióropuszcami - mietlice, kostrzewy, wiechliny i drzy za najlżejszym podmuchem wiatru

delikatna drzączka.

Ileż to smakowitych kąsków dla sarniego pyszczka! Tylko zgarniać chciwym językiem ten soczysty, wygrzany w słońcu, pachnący pokarm.

Niekiedy znęciła pasącą się sarnę jakaś gałąź, rozpinająca zielone liście wysoko nad jej głową.

Dosięgnięcie jej wydaje się niepodobieństwem. Ale potrzeba i las uczą swoje dzieci przeróżnych sposobów i sztuk lepiej od trenera cyrkowego. Oto sarna najwdzięczniejszym, lekkim ruchem wspina się na tylnych nogach, przednimi kopytkami zawisa w powietrzu i chwytą wyciągniętym, łakomym pyszczkiem upragnioną gałązkę.

Koziołek tymczasem brodził wokoło matki wśród bujnych traw, z gąszczu których zaledwie łepki mu wystawał, to znów pobrykiwał pociesznie jak pozłocista piłka w białe grochy.

Ale po tych dziecinnych wybrykach zabierał się poważnie do żerowania, naśladując we wszystkim matkę.

Robił to „na niby” - bo naprawdę jedynym dotąd jego pożywieniem był pokarm matki. Jeść nic jeszcze nie potrafił, co mu nie przeszkadzało chwytając tak, jak to robiła matka, pyszczkiem zioła i przesuwając je na języku, jakby grał na fujarce, trząść zawzięcie łepkiem, a nie doszukawszy się w nich jeszcze żadnego smaku, wypluwać w końcu i szukać nowych łądek do dalszej zaprawy w przyszłym żerowaniu.

Sarna od czasu do czasu unosiła głowę i zamierała na chwilę w czujnym, badawczym napięciu. Malec naśladował każdy jej ruch. W takich chwilach napiętej uwagi również unosił łepki i przybierał postawę „na baczność”, nastawiając czujnie długie, kosmate uszka.

Po przeciwnej stronie polany, w osłonie potężnego wykrotu powalonej jakimś huraganem jodły, rozpościerał się gęsty kobierczyk rumieniejących w słońcu poziomek. Ponęta nieprzeparta dla każdej sarny.

Tam też drobnym kroczkiem ruszyła przywabiona przysmakami matka koziołka.

O, gdzie byłaś pod tę chwilę, sójko, sójko czubata z błękitnymi lampasami, najczujniejszy strażniku leśny? Czemu nie rzuciłaś ostrzegawczego skrzekotu?! Gdzieście się podziały krzykliwe kumoszki - sroki i fukające ostrzegawczo wiewiórki?

Czemu zamilkła cała straż leśna, a pomyślny wiatr nie nawiał groźnej woni ukrytego wroga?

Kiedy sarna, nie przeczuwająca nic złego, podeszła do wykrotu i nachyliła się nad czerwieniejącymi w trawie koralikami poziomek - nagle skądś z wysoka spadł na jej grzbiet, jak grom z nieba, jakiś straszliwy potwór. Koziołkowi instynkt samoobrony kazał uskoczyć w

bok i przywarować w gęstwinie poszycia, chociaż matka nie zdążyła podać mu ostrzeżenia.

A tam, tam na polanie działy się jakieś straszne, niepojęte rzeczy. Coś się szarpało, kotłowało, szamotało, matka koziołka szczełała rozpaczliwie jakimś skrzeczącym, nie swoim, obcym głosem, coś mruczało dziko i zajadle, a potem wszystko ucichło. Ale koziołek nie odważał się wyjść z ukrycia, czuł jeszcze wroga w pobliżu i nie, słyszał wabiącego przyzywania matki. Sam ją przyzywał, dopóki mu sił starczyło, wysokim, cieniutkim piskiem podobnym do pofiukiwania na trawce, ale to nic nie pomagało.

Matka do niego nie przychodziła.

Przed wieczorem dopiero, zgłodniały i zziębnięty, odważył się opuścić kryjówkę w poszukiwaniu matki.

Na skraju polany pod wykrotem jodły leżało coś, co przypominało jego matkę, co nią jeszcze pachniało, ale było równocześnie martwe, obce i pozbawione matczynej ciepła.

WYBAWICIEL

Stary drwal, Jan Pogwizd z Rytra, wracał do domu po całym dniu roboty przy ścinie drzew w dolinie Małej Roztoki.

Szedł spiesznie spadzistym zboczem, z piłą i toporem na ramieniu, i właśnie miał skrócić w ścieżkę wiodącą ku kipiącemu w dole strumieniowi, kiedy nagle coś pstrokatego zamajaczyło pod młodym jaworem.

„W oczach mi się mieni czy ki diabeł?!”

Przystanął. Podeszedł bliżej.

Pod paprocią, otulającą go miłosiernie, leżał na mchu pstrokaty łachmanek, wycyty z ostatka sił - małe sarnie.

Łepek dźwigało z trudnością, a ustawione na nogach, padało bezwładnie na ziemię jak zepsuty pajac, pod którym się drewniane nóżki załamują.

Dla starego drwala, zrośniętego z lasem jak z własnym domem, nie ulegało żadnej wątpliwości, że jest to opuszczona przez matkę sierota.

Nie tak sarna ukrywa swoje młode! Wiedział o tym doskonale.

- A toś się, chudzino, zamorzył! Pójdźże pod kapotę! - mruknął stary drwal wpychając wierzgającego ostatkiem sił malca pod wytartą połę serdaka. - Stara pomamrocze trochę, ale cię przyjmie, co będzie miała do roboty? Ale co tyż to się stało z twoją mamą, he?

Ta zagadka nie była trudna do rozwiązania.

O kilkanaście kroków w lewo, u skraju niewielkiej leśnej łączki, pod rosochatym,

potężnym jak barykada wykrotem powalanej przez wicherę jodły, leżała w kałuży krwi martwa sarna.

Spoczywała na gęstym kobierczyku poziomek i nie wiadomo było, co plami zieleń potrójnych listków: owoce poziomek, które ją przywabiły w to zdradzieckie miejsce, czy też krople jej własnej krwi.

- Tuś ją dopadł, rozbójniku!

Jego to była robota, ani chybi, jednego z ostatnich leśnych zbójów tej podkarpackiej krainy - rysia!

„Pasła się sobie kózka spokojnie, wiaterek miała od polany, z przeciwnej strony niż zasadzka - rozważał Pogwizd - podeszła, nic nie wiedzący, za zieleń pod wykrot, a on, rabuś krwi chciwy - już się czaił za wykrotem, tylko na to czyhał, ostre uszy po sobie położywszy... Nawet nie oka mrugnięcia, jak na nią runął błyskawicą. Zadławił, krew wypił, mięsa nie ruszył - i tyle go widzieli! Znikł, jakby go nigdy tu nie bywało! Taka to już zbójcecka natura tego cętkowanego harnasia nad harnasie w białych bokobrodach i z zawadiackimi pędzelkami na uszach! Trzeba dać znać do nadleśnictwa. Zawszeć co ryś - to ryś! Mało gdzie się jeszcze na świecie pochwałą rysiami! Co chwała, to chwała dla ryterskich lasów!”

- No, to pójdźże, sieroto, a kopytami we mnie nie barabań, bom przecie nie bęben! Mleczka dostaniesz! Nie bój się! Cichaj, cichaj!

Ale z tym obiecywanym „mleczkiem” wcale nie poszło tak łatwo! Pogwizdowa, znana w całej Roztoce Ryterskiej i w Rytrze aż chyba po Stary Sącz z wymowności i z tego, że swoim starym i wszystkimi dookoła trzęsła - na widok koziołka wpadła w okropny gniew.

- Coś mi tu jakąś pstrokatą pokrakę staszczyl? Czy to się u mnie mleko przelewa? To nie wiesz, że nasza krowa z mlekiem staje? Mleko mleka nie widzi! Ledwo dla Jasia starczy ta kapichna! Nie podołam chować tego kopyciastego pokurcza - wynoś mi się z nim, póki cały, bo miotłę chwycę!

Cóż było robić, odsunął Pogwizd wnuka Jasia, który czule gładził łepkę koziołka, otulił sarnią sierotę i chociaż okrągłe oczy chłopca nabiegały łzami, a puciołowata buzia wykrzywiała się w podkówkę do płaczu, wyszedł spiesźnie z domu, żeby przerwać potok wymowy swojej żony i nie dodawać żalu Jasiowi.

Serce gniótł mu frasunek: „W czyje ręce powierzyć to leśne dziecko, ofiarę rysich rozbojów? U nadleśniczego dzieci nie ma - rozważał - i psy kozła jeszcze rozszarpią. U leśniczego - młodzież w szkołach. Najlepiej mu chyba będzie na gajówce u Piotra Kluski - postanowił. - Czyjeż to dzieci, jak nie gajowego, kawkę wypadłą z gniazda hodowały?... Poczieszne to było ptaszysko - uśmiecha się Pogwizd - psu pchły wybierało z kudłów i na

głowie mu jeździło!

Kluszczytom ta kawka Kasia stale siadała na ramieniu, a na ich wołanie - leciała na złamanie karku.

A ileż to było płaczu, kiedy ta Kasiunia wreszcie przystąpiła do dzikich kawek! Z tydzień Kluszczyta chodziły ze spuchniętymi od płaczu nosami - wspomina Pogwizd. - Tak, tak, to są dzieci, co mają serce dla żywiny - to ani słowa! Jest tam tych »Klusieczek« jak zacierczek - z pięcioro chyba, a wesołe to, żwawe, do roboty sposobne; gołębnie, króliki hodują, kozy pasą - zwierzęciu będą sprzyjały!”

W PEWNE RĘCE

Skreślił Pogwizd w prawo, przeszedł po szerokim moście z bali nad wrzącą ku Popradowi Roztoką Ryterską, wstąpił po kamiennych progach pod górkę - i tu go przyjęły w swój mrok stare, rozłożyste lipy, odwieczne strażniczki Kluskowego obejścia.

Choć dziecisków tu mrowie, chałupina jak łupina przykucnięta u stoku góry, niewielka i stara, a obejście, po prawdzie, złożone z samych klitek, ale domek wybielony błyska szybkami okien, czysto tu w każdym kątku i składnie.

Siwy, zgrabny koń Kuba, duma gajowego, ma swój wygląd z małej, sklepionej z desek stajenki. Obok, w obórce, stoją dwie białe kozy. Dalej jest kurnik, do którego prowadzi wejście po drabinie, gołębnik ze starej paki i drwarka z dachem na palach. W klatkach ruszają nocami siwe króliki, a strzeże tego wszystkiego zajadły kundel - Łoboś.

Koło całej tej żywiny krząta się rozmowna i ruchliwa Kluszczyzna, stara, przygarbiona wiekiem babcia i czworo wiecznie śmiejących się od ucha do ucha pociech, bo najmłodszej Kundzi nie można liczyć - tę dopiero, w „husiance”* z kijów i płachty, buja wiatr pod lipami.

Zaledwie stary Pogwizd przestąpił most na Roztoce i zaczął się wspinać po kamiennych stopniach do zagrody Klusków - już go „Klusieczki” obkoczyły ze wszystkich stron.

- Ujku, co ujek niesie za pazuchą?

- Cosik mom lo wos, nie bójcie się!

- Co takiego, ujku?

- Ujek pokaże!

- Czy to do jedzenia?

- A „do jedzenia”. Juści! Jeść będzie za czterech!

Jędrus odchylił brzeg kapoty, wyrzały czarne, zwisające bezwładnie raciczki.

- Kózka! - krzyknęła Józia.

- Baranek! - wrzasnęła Rózia.

- Ani kózka, ani baranek - ale leśny wychowanek! - zagrział Pogwizd nastroszywszy wąsy i ostrożniutko wyjął spod kapoty drżące sarniątko.

- Mamo! Mamo! Sarenka! - wrzasnęli wszyscy naraz tak, że aż gołębie poderwały się do lotu, a Łoboś uznał za stosowne zaszczekać przy budzie.

- On głodny! - powiedziała najstarsza, duża już Marysia. - Nie może ustać na nogach! W tej chwili zawrzało w gromadce.

Już Jędrek wspinał się na stryżek nad stajenką po siano, Rózia zrywała zielsko pod płotem, a Józia niosła wodę w puszcze po konserwach.

- Co wyprawiacie?! Pstro wam w głowie! Przecież on malusieńki, mleko tylko może pić - zgromiła rodzeństwo Marysia.

- Mleko?! Zaraz będzie mleko! Mama tylko co kozy wydoiła!

- Mamo! Mleka! - zawołały naraz Józia i Rózia wpadając do izby.

- A cóż się tam stało? Otruł się kto czy co, że taki gwałt?

- Mamo, sarenka! Nasza sarenka!

- Taka dropiata, jak nie wiem co!

- Ujek Pogwizd przyniósł!

- Taka głodna, że się przewraca!

- Mama da garnek mleka!

- Garnek mleka?! A któż to słyszał? - złapała się za głowę matka.

- Mama da choć kubeczek! - I już nie pytając więcej, nalewały mleko na miskę w czerwone róże, ale w drzwiach właśnie stanęła Marysia z sarnięciem na rękę, a za nią Pogwizd.

- Co robicie, kozy postrzelone? - ofuknęła znowu młodsze siostry Marysia. - Jakże on będzie z miski pił, taki maluśki?! Cumelek mu trzeba i butlę!

O to nie było trudno w tym domu - w lot znalazł się zapasowy cumelek Kundzi, czysta butelka - i już po chwili koziołek, owinięty w podartą Kundziną pieluszkę, doił przez smoczek z miną pełną błogości ciepłe mleko z wodą, ku ogólnej wielkiej uciechu, a jedynie ku rozzaleniu i niezadowoleniu Kundzi.

- Da! Da! Da! - rwała się co siły do butelki z mlekiem, trzęsąc się z oburzenia na tego nieznanego, kosmatego natręta, który ośmiela się wchodzić w jej, Kundzine, wyłączne prawa do butli z mlekiem i cumelka.

- No, dość będzie na dzisiaj, łakomczuchu, bo ci brzusek pęknie - powiedziała

Marysia. - Pójdiesz teraz spać!

Przy zapamiętanej gorliwości dzieci w jednej chwili znalazła się paka wysłana grochowinami. Ułożono w niej koziołka i otulono szmatami tak ciepło i przytulnie, jakby leżał u boku swojej sarniej mamy.

Toteż od dawna mały, skołatany sierota nie spał tak mocno, słodko i bezpiecznie.

KLUSKOWE WYCHOWANIE

Ale, jak się okazało, nie jest to wcale taka łatwa sprawa przeprowadzić zdrowo, przez jego najwcześniejsze tygodnie, małego, leśnego dzikusia.

Któż zbada, jak go pielęgnuje matka, czym go dokarmia las, jakie zioła i drzewa krzepią jego siły, że rośnie zdrowy i mocny jak młody dąbek!

Opieka ludzka - choć najtroskliwsza - nie wychodziła mu w początkach na zdrowie. Sam powiatowy weterynarz musiał określać, co koziołkowi wolno dawać, żeby nie chorował na brzuszek, musiał nadleśniczy udzielać krowiego mleka, bo kozie było za tłuste i szkodziło malcowi, a Marysia, „kozyłkowa mama”, jak ją dzieci nazywały, musiała ściśle pilnować godzin, kiedy się małemu „należało jeść”.

Toteż biegął za Marysią pospiesznym truchcikiem, tupiąc raciczkami po podłodze, a już najuciesznieszy był widok dla dzieci, kiedy Marysia dwie butle z cumelkami, pełne ciepłego mleka, podawała równocześnie Kundzi i koziołkowi.

Oboje doili jak smoki, tylko że Kundzia nie trykała głową i nie przytupywała niecierpliwie, kiedy się mleko kończyło.

- No, kto prędzej wypije?! - piszczwały dzieci.

- Spiesz się, Kunegunda! - ponaglały siostrę, ale to nic nie pomagało, koziołek zawsze wypił pierwszy.

Nigdy nie nasycony, chwycił w pyszczek palce dzieci i ssał je zawzięcie, potrząsając uporczywie głową w nadziei, że mu mleka przypuszczą.

Wczesnym rankiem, kiedy wybiegał z domu, a rosa na roślinach jarzyła się tysiącem małych słoneczek, podbiegał i zlizywał łakomie te iskrzące brylanciki. Tak widocznie robią w lesie wszystkie sarnie dzieci.

Kundzia ciągle jeszcze fikała w pieluszkach różowymi piętami i ledwo się dźwigała na nogi przy stołkach i skrzyniach, kiedy koziołek już tego brykał i figle płatał po podwórzu.

- No, już dość tego dojenia z butli przez cumelek! Stare koźlisko takie, aż wstyd! - orzekła poważnie po paru tygodniach koziołkowa mama, Marysia, i nalała mleka na miskę.

- Masz, pij sam jak się należy, po ludzku!

Nauczył się prędko. Wypijał wszystko do ostatniej kropelki, a kiedy mleko się kończyło i na dnie miski zaczynały prześwitywać czerwone róże, wpadał w gniewne podniecenie.

Bił raciczkami, poszturchiwał miskę łepkiem i pisał śmiesznym, przenikliwym głosem, podobnym do pofiukiwania na trawce napiętej między palcami.

- On chce, żeby mu miska mleka przypuściła! - zaśmiewały się dzieci.

- A jak on pociesznie pije! Nie mlaska językiem jak Łoboś, tylko tak ssie jak krowa!

Teraz już nie wystarczało koziołkowi samo mleko. Wyszukiwał sobie coraz nowe przysmaki, a najbardziej mu zasmakowały - obierki ziemniaczane.

Wesoło trzeszczały pod blachą gałązki sosnowe, a pomarszczona jak wędzące jabłuszko stara babcia Kluszczyna obierała ziemniaki na obiad.

Szary ziemniak obracał się w jej palcach jak fryga i białł coraz bardziej, a długie, kręte wstęgi obierzyn spływały miękko do koszyka, ale nim piąty ziemniak zdążył chlupnąć do podstawionego garneczka z wodą, już przy koszyku zjawiał się koziołek i odtąd każda opadająca spod babcinego cyganka obierzyna trafiała prosto do jego pyszczka.

- Mógłbyś lo prosiaka krzyne ostawić, łakomcze utrapiony! Wszystko byś sam złasował! - rzędziła babka, choć oczy jej się śmiały do ulubieńca.

Któregoś letniego popołudnia - kiedy gałęzie odwiecznych lip przed bramą Kluskowego obejścia pokryły się złocistozielonkawym, uskrzydłym kwieciami, a miodny, sycący zapach unosił się ponad całą wsią - zawitał do koziołka w odwiedzinach młody leśniczy z Małej Roztoki.

Miał on siwe, wesołe oczy i śliczny, zielony kołnier, haftowany w srebrne liście dębu. Przysiadł na ławce przed domem, dzieciom rozdał cukierki, a koziołkowi ofiarował paczkę płatków owsianych.

- On nie będzie tego jeszcze jadł, za mały! - rzekła Marysia. Ale tym razem się omyliła, koziołek z wielkim apetytem zabrał się do płatków, zagarniając je śmiesznie do pyszczka różowym językiem.

- Widzicie go, jaki to opaczny - cudowała się Różia - wodę i mleko to ssie, a płatki chlipie jęzorkiem!

- No - przytwardziła Józia - nasz Łoboś to wodę chlipie, a jak mu nakruszyć chleba - zlizuje!

- Co pies, to nie sarna - rozstrzygnęła uroczyście Różia.

Babcia zaparzyła herbaty, żeby godnie przyjąć gościa, ale zaledwie zdążyła postawić

na ławie przy leśniczym szklanekę mocnego naparu, już koziołek, oparty przednimi raciczkami o brzeg ławki, sięgał do szklanki, niuchał rozdętymi chrapkami i wyciągał do bursztynowego płynu swój śmieszny pyszczek z białą plamką pod brodą, jakby umaczany w mleku.

- Koziołek, co ty wyprawiasz?!

- Gdzie się tu pchasz z kopytami?!...

- Panu leśniczemu herbatę chce wypić!

- Herbaty mu się zachciewa! - zaśmiewały się dzieci, zachwycone dziwnymi zachciankami swojego wychowanka.

- Zabierzcie tego naprzykrzeńca! - zawołała na dziewczynki matka. - Jeszcze szklanekę przewróci panu leśniczemu!

- Niech się pani nie gniewa, ma on swoje ważne powody! - uśmiechnął się leśniczy i, nalawszy herbaty na spodek, podał go koziołkowi. Mały rzucił się na płyn łąpczywie i wessał go w jednej chwili do ostatniej kropelki.

- Potrzebuje koniecznie garbników, trzeba mu dawać różne gałązki, a najlepiej kruszyny i dębu, bo herbata cokolwiek za kosztowna dla takiego nicponia! Zwierzęta leśne dobrze czują, czego ich organizm potrzebuje!

Na mleku, płatkach owsianych, obgryzanych z zapalem gałązkach, jakich mu codziennie dostarczały odtąd dzieci, na objadanych ku oburzeniu babci nasturcjach w ogródku, na liściach poziomki i innych ziołach - koziołek rósł po prostu w oczach, męźniał z każdym dniem, zatracając powoli niemowlęce piętna, uszeregowane równiutko na rdzawej sierści - płowiał i piękniał coraz bardziej.

Tak przynajmniej twierdziły dziewczynki.

Ale najważniejsze ze wszystkiego było to, że na tym odpowiednim dla siebie pożywieniu koziołkowi przestały nareszcie zupełnie drzeć po niemowlęcemu, jak to było dotychczas, jego długie i cienkie jak tyczki od chmielu, patykowate nogi.

NOWA SZATKA

Z każdym dniem, razem z przybywającymi siłami, wzrastała w nim ochota do zabaw i figlów.

Ulubionym sportem Jędrka i koziołka było „przepieranie się” - kto silniejszy.

- No, koozioo!... Koozioo! - trrryk!... - wyzywał Jędrak kozła, stając na czworakach. Było to hasłem do zapasów.

Koziołek z zapalem przyjmował wyzwanie „na udeptaną ziemię” i obaj nacierali na

siebie równocześnie, zderzając się czołami.

- Nie daj się, kozioł! Dalej go na Jędrka! - podjudzały dziewczyny koziołka, klaszcząc w ręce.

I nieraz się zdarzało, że Jędrak, choć udawał, że „on tak tylko, dla zabawy”, wychodził z tych zapasów pokonany. Tak przynajmniej dowodziła Józia.

Już teraz, kiedy koziołek pojawiał się na podwórku, kury i gęsi umykały w popłochu przed jego opuszczonym do tryknięcia czołem, już dotychczasowy gospodarz podwórka, Łoboś, udawał, że się „z takimi nie zadaje”, i z godnością wpychał się do budy, kiedy się tylko koziołek za bardzo przybliżył.

Już nawet dzieci musiały uważać przy zabawie, bo potrafił, gdy mu coś strzeliło do koźlej głowy, znienacka tryknąć tak, że ten, kogo poczęstował kuksańcem, wyskakiwał w górę jak z procy.

Ale ze wszystkich swoich sprawności - koziołek najlepiej biegał. Znać było po nim już w tym wieku, że szybkie nogi to najważniejsza sprawa dla sarniego rodu. Niedościągła chyżość nóg to ucieczka i obrona przed napastnikiem.

Koziołek biegał szybko, lekko i wytrwale, już nikomu nie dałby się dogonić, a co najdziwniejsze, że w biegu zawsze zakreślał koło.

- Ten wasz kozioł to ma kołowaciznę! - przekomarzał się z siostrami Jędrak.

- Sam kołowaty! - odcinały mu się dziewczynki, dla których przyganianie czegoś koziołkowi było powodem do najgłębszej urazy.

Powodów tych, na szczęście, nie bywało wiele, przeciwnie, każdy się życzliwie troszczył o leśnego malca.

Tymczasem przetoczyło się nad dolinami Popradu i obu Roztok bujne lato. Nadciągała powoli jesień.

O tej porze w zachowaniu koziołka zaszła jakaś niespodziewana i dziwna zmiana. Zaczął unikać ludzi, przepadać po krzakach, jakby się ukrywał czy stronił od świata.

- Chory czy co? Coś mu jest! Co mu się stało? - niepokoily się dziewczynki.

Już od kilkunastu dni kozioł, zaszyty w gąszczach, nie pokazywał się przy domu ku rozpaczy dziewczynek.

Aż tu pewnego rana Rózia, która wybiegła do drwalki po szczapy, wpadła do izby rozczarowana.

- Kozła nam ktoś odmienił! - krzyknęła od progu wielkim głosem. - Całkiem inakszy, niż był! - wołała drżąc z podniecenia. - To nie nasz kozioł!

Kto żyw - wszyscy wybiegli przed dom.

Rzeczywiście, przy kaczym korytku z ziemniakami stał koziołek, podobnej postaci jak ten dawny, ale w zupełnie innej szatce.

Przed kilkunastu dniami był kasztanowatorudy, lśniący, ze śladami zanikających cętek, teraz stał przed nimi koziołek w srebrzystoszarej, puszystej szubce.

Na powitanie gospodarzy uniósł głowę i wszyscy stanęli zaskoczeni.

Jakże był teraz śliczny! Nad jego czarnymi, połyskliwymi oczami, o długich, ciemnych rzęsach, srebrzyły się siwe brwi, pyszczek z białą plamką od spodu, jakby umaczany w mleku, ruchliwe, lśniące chrapki i długie, wysmukłe uszy, podbite wewnątrz srebrną sierścią, nastawione strzeliście ku górze, po bokach głowy, jak rozpięte do lotu skrzydła ptaka - wszystko to razem czyniło z koziołka jakieś niezwykle, leśne zjawisko.

- Ten czy nie ten?!... - jęknęła Józka.

- A toć nie zawracaj głowy! - ofuknęła ją Marysia. - Wiadomo - nasz kozioł, tylko wyleciał i sierść zmienił!

- Przez to się tak krył po krzakach! - dorzucił Jędrak.

- Ale tęgą szubę sobie sprawił na zimę! Dobrze wykarmiony, nie dziwota! - roześmiała się matka. - Już nam teraz nie zmarzniesz, jak zima nastanie.

Nad łańcuchami gór dniem i nocą ciągnęły na południe ptasie hufce.

Na jakiś znany tylko ptakom przelotnym znak - ruszyły równiutkie trójkąty bocianów, zwarte chmurki drobnych ptaków śpiewających, skośne klucze dzikich gęsi i tysiące innych skrzydlatych koczowników.

Opuszczała gościnną dolinę Popradu, aż do wiosny, cała przelotna młodzież ptasia, wyhodowana w ciągu ostatniego lata w ostoi jej lasów, zarośli, górskich łąk i wartkich potoków.

Zielone zbocza i szczyty Makowicy i Radziejowej, pokryte puszystą pierzyną bukowego lasu, zaczęły stroić się w czerwień, purpurę, brąz i złoto, jakby malarz zmieszał całe ogromne bogactwo ognistych barw na swojej palecie. Jakże wspaniale i dumnie rysowały się na tym barwnym tle ruiny zamku, starej strażnicy Popradu, wieńczące, jak orle gniazdo, stromą, niedostępną górę panującą nad nurtem rzeki.

KOZIOŁEK NA GRZYBACH

Przeszły ulewne deszcze, więc w lasach bukowych zaroilo się od borowików w ciemnordzawych, bez połysku, zamszowych kapeluszach, sławetnych, wspaniałych grzybów,

aromatycznych i odpornych na robaczywienie.

I oto któregoś słonecznego ranka, kiedy Zamkowa Góra nad Popradem ledwo rozpowijała się z welonów mgieł, Marysia, Józka i Rózia wybrały się na grzyby.

Pobiegł za nimi koziołek, no bo jakże mogłoby się coś bez niego obejść.

Ale nie okazał się on wcale najlepszym pomocnikiem. Co dopadł borowika - to go ze smakiem schrupał, zanim która z dziewcząt zdołała go podjąć. Wiedziony swoimi wyostrzonymi zmysłami leśnego dziecka, wyszukiwał grzyby o wiele lepiej od swoich towarzyszek.

Prócz tego dopuszczał się rzeczy zupełnie niedozwolonej w przepisach „ochrony lasu”, bo po schrupaniu ze smakiem grzyba zaczynał wokoło miejsca, gdzie go znalazł, rozgrzebywać ziemię raciczkami - a nuż tam, pod ziemią, jeszcze takie pyszności siedzą?...

- Co robisz, głuptasie? - przemawiała mu do rozsądku Józka. - Nie wolno rozgrzebywać ziemi przy grzybach, bo się niszczy grzybnię i nowe grzybki nie wyrosną! Rozumiesz, koźla głowo?

Ale koziołek niewiele widocznie pojmował z tego mądrego pouczenia, bo przy następnym schrupaniem grzybie kopał jeszcze zajadłej, tak że aż mech i leśna ściółka pryskały na boki.

- Czekaj, nigdy cię już na grzyby nie weźmiemy, kiedyś taki wyrządny! - ostrzegały poważnie dziewczynki.

Ale nie były to jedyne tego dnia psoty koziołka.

Spływające z radziejowskiego pasma gór, zawsze bogatego w wodę, leśne potoki, pędzące w dół w półkolistych zakrętach, przybrały, poszerzyły się po deszczach i szumiały ostro, kipiąc na omszałych głazach.

Kiedy dziewczętom zagroził drogę spieniony potok - Marysia i Józka przeskoczyły go lekko, a najmniejsza Rózka zawahała się na chwilę.

Zniecierpliwiło to widocznie kozła, odskoczył, wziął rozpęd - i bęc! Z całej siły jak tryknie Rózię z tyłu - to przesadziła przestrzeń dwa razy dłuższą, niż było potrzeba, i ugrzęzła na dobitkę w kolczastym jeżynowym gąszczu.

Ale i ta, jak wszystkie inne psoty, przyjęta była przez jego opiekunów z zachwytem. Było mu właściwie wszystko wolno - i co gorsza, wiedział o tym doskonale!

GÓRSKA ZIMA

Górska zima zjawia się znienacka i zaskakuje świat niespodziewanie. Zaledwie

wędrownie ptaki zdążą opuścić te strony, ciągnąc na południe, a czarne, słonecznoplamiste salamandry zdołają naznaczyć sobie zbiórkę pod sklepieniem korzeni starego dębu czy jodły na masowe zimowe leże - już jeden mocniejszy halny wiatr ogałaca bukowe lasy z ich przepysznych w kolorach, jesiennego przyodziewku. W ślad za halnym trop w trop podkrada się zima w dolinę Popradu.

Któregoś listopadowego ranka, kiedy się dzieci obudziły, za oknami było zupełnie białe.

- Śnieg! Śnieg! - zawrzało w izbie.

Otwarto na oścież drzwi do sieni i dzieci wytoczyły się na dwór, a za nimi wyskoczył koziołek ze swojej komórki pod schodami.

Śmignął, jak zawsze jednym susem, ze wszystkich czterech schodków ganku naraz - i stanął na chwilę skamieniały, a potem rzucił się jak szalony i dalejże rozgarniać raciczkami sypki jak najlżejszy puszek, świeży młodziutki śnieg, tak że białe fontanny tryskały na wszystkie strony, trykać głową i fukać zawzięcie na tę nieznaną, zimną białość, która ośmieliła się pokryć zieleń i trawy.

Dzieci stały zaskoczone niezwykłym zachowaniem koziołka. Pierwsza oprzytomniała Józia.

- Mamo! - zawołała. - Mamo, pójdźcie obaczyć, co nasz koziołek na śnieg mówi!

Ale koziołek przywykł do tej białości bardzo prędko, ba, nie tylko przywykł, ale tak nieprzeparcie uległ urokowi śniegu, że kiedy w grudniu zawieje śnieżne wydeły na podwórku pod płotem zaspę niczym wał obronny, wygrzebał w niej racicami jamkę - i tam, nie pytając nikogo o pozwolenie, przeniósł się na nocleg ze swej komórki pod schodami.

Odezwała się krew przodków. Leśnemu dziecku było widocznie duszno pod dachem ludzkiej siedziby, a śnieg, jak bratni żywioł, wabił nieprzeparcie.

Zima na Podkarpaciu to nie przelewki! Ale koziołek nie opuszczał swojej śnieżnej koliby nawet w największe zamiecie i wykopywał się rankiem ze śniegu, zawiany doszczętnie razem z głową, zdrowy i rześki.

- Nie lepiej ci to, łazęgo, poświetniku jeden, przy kominie boki sobie grzać niż w śnieżnej jamie sypiać, jak ten zajac nie przymierzając! Wilki cię zeżrą, obaczysz!... - zrzędziła babcia, nie przeczuwając wcale, jak bliska była prawdy.

Oto śnieżycza zawałiła lasy, zadęła pola i wsie, wszystko zakopała w śniegu. Śnieg miółł bez chwili przerwy przez trzy doby.

Głód straszny, przemożny władca, zapanował wśród mieszkańców podkarpackich lasów i pól, wśród tych wszystkich, którzy się poważyli, nie popadając w odrętwienie, stawić

czoło tutejszej zimie, niosącej zagładę życiu.

Taki głód to nie przelewki. Przetrzymasz największy mróz, wichurę, zawieję, nawałnicę, przekopiesz się przez zaspę i śniegi, byle tylko brzuch był pełny! Ale głód cię zwali z nóg. Głód cię pokona.

Zdrętwiałe z zimna zające, z sierścią nabitą śniegiem, przekopywały się brodząc po uszy w zaspach ku jabłonom w ryterskich sadach; sarny i jelenie dążyły do paśników; kuropatwy gromadnie ciągnęły do szałasików z pośladem, jedynej deski ratunku. Ich tropem skradał się lis, na lisa czatował, przyczajony za złomami i wykrotami, tygrys Podkarpacia - ryś, a wychudzone do ostateczności dziki, z grzbietami wyostrzonymi jak tasaki, niestrudzenie ryły pokłady śniegu w poszukiwaniu żołądki i bukwi.

Na całą tę zgłodniałą rzeszę ostrzyły złowieszczo zęby najbardziej wygłodniałe i żądne łupu - wilki.

W dolinie Roztoki, w Makowicy i Pod Makowicą słyszano nocami ich ponure, przejmujące trwogą wycia, a dzieci z tych odludnych, górskich osiedli trzeba było z latarniami przeprowadzać do szkoły w Rytrze.

Gajowi napotykali co rano resztki nocnych wilczych uczt i całe polany zroszone krwią płowej zwierzyny, stratowane racicami dzików i łapami wilków.

Były to pobojuwiska nocnych zapasów na śmierć i życie między dwoma potęgami lasu.

Ale sarna i jeleni mają ręce nogi i wilki dobrze się muszą wysilić polując na nie „w dogonkę” ; dziki zaś potężne i ostre kły - kiedy się zewrą w czworobok, zadami do środka, a uzbrojonym w śmiercionośne szable gwizdem na zewnątrz, to niejedyn wilk padnie z rozprutym brzuchem.

Można im dać radę tylko wtedy, gdy są w pojedynkę, nie zawsze jednak pojedynczą sztukę uda się okrążeniem oderwać od gromady.

Takie polowanie jest niebezpieczne, ciężkie i pociąga za sobą dużo ofiar z wilczego stada.

Ale oto tam, w dolinie Roztoki, śpi zagrzebana w śniegu wieś. Przy każdej chałupie pies na łańcuchu, odwieczny wróg wilczego rodu i jakże łatwy łup! A po obórkach i chlewikach bezbronne owce, cieleta, prosiaki i gęsi! Tylko mordować, rabować i z łupem - w nogi!

UDAREMNIONY NAPAD

Groźna tyraliera jak zagon tatarski, który ongiś nawiedzał te strony, sznuruje bezszelestnie w stronę wsi.

Jedynie ciemne, ruchome punkciki na białości śniegu mówią o tym, że zbójcka napaść zagraża uśpionej wiosce.

Wiatr wieje pomyślnie dla napastników - w same nosy - toteż wieś śpi sobie dalej ufnie, chociaż przednie czaty wilczego napadu już stanęły na wzgórku, tuż nad domami.

Żaden najczujniejszy pies, zakopany w ściółce swojej budy po uszy, nawet nie warknął, żaden gąsior w kojcu nie zagegał, ale za to zadrżał trwożnie mały, zagrzebany w śniegu koziołek.

Nie wiadomo, jakim instynktem wiedzione, dziecko lasu poczuło nieomylnie odwiecznego, straszliwego wroga swojego plemienia.

Gnany przerażeniem, koziołek jednym susem wyrwał się z zasy i skoczył ku gankowi, bo gdzież miał szukać ratunku on, wychowanek człowieka.

Nie wiedział jeszcze, skąd niebezpieczeństwo nadciąga, ale nieomylny instynkt poderwał go na nogi i kazał wszcząć alarm.

W mrokach nocy tylko śmignął gęstszym cieniem przez śnieg.

Zadudniły koźle raciczki po ganku i twarda czaszka łupnęła z hukiem w zaparte drzwi.

„Otwierać! Ratunku!”

Na to hasło straszliwy jazgot podniósł Łoboś, a za nim wszystkie kundle i kundelki, białe dostojne owczarki i małe pokurcze z całej wsi, od dolin obu Roztok aż do Popradu.

Dobrze było wiadomo, że takie zbiorowe, zajadłe ujadanie, wszystkich psów to alarm na trwogę!

Po chatach zabłyśły światła, ludzie z latarniami wybiegli przed domy. Gajowy Kluska z dubeltówką skoczył ku drzwiom, a rozwarłszy je, runął jak długi na ganek, przez prącego co siły do sieni koziołka.

- A żeby cię też, utrapieńcze! - zaklął zrywając się na nogi.

Dzieci, wyrwane z mocnego snu, w przestachu pousiadały na łózkach. Matka zaświeciła ogarek świecy.

Do łóżka Józi i Rózi dopadł, drząc na całym ciele, koziołek, jakby u nich szukał ratunku. W tej samej chwili: „Bach! Bach! Bach!” - rozległy się strzały tuż pod ich domem.

Koziołek skoczył przerażony. Rózia obłapiła go za szyję.

- Cichaj! Cichaj! To przecież tata do wilków strzela! Tata wilki przegoni! Nie bójże

się! My cię nie damy! - ale sama drżała jak osinowy listek na wietrze.

Po dłuższej chwili wrócił ojciec i otrzepując buty ze śniegu, powiedział od progu:

- Ale co wam powiem, to powiem, że się wasz kozioł ładnie za wychowanie odwdzieczył! Pierwszy, hultaj, poczuł wilka! Psy - ani pary z pyska, a on już łomotał do drzwi! Niejednego kundla, a może i barana dopadłyby te bestie, nimby się reszta połapała!

- No, no - tośmy nie wiedzieli wcale, jakiego obrońcę sobie hodujemy! - roześmiała się szeroko gajowa.

- Widzisz, koźli łepku, jakiś to ty mądrała! Całą wieś od wilczysków uratowałaś! - całowały z czułością czarny pyszczek koziołka Józia i Rózia.

- Już teraz to kręćka dostaną z tym kozłem i po całej wsi obębnia, jakiego to bohatera wychowały! - mamrotał Jędrek, zazdrosny o koziołka.

- Może chociaż teraz, po takiej nauczce, będzie sypiał w swojej komórcie ten „sowizdrzał”, bo kto to słyszał tak w śniegu na dworze - przygadywała swoje w kółko babcia.

Ale koziołkowi ani to było w głowie i zanim jeszcze zdążono drzwi zamknąć, wyskoczył do swojej śnieżnej kotliny, niepomny nawet na wilki.

A tymczasem chwała koziołka jako obrońcy wsi przed wilkami, tak jak przewidział Jędrek, szeroko się rozniosła. Każdy chciał go obejrzyć i swoje słowo pochwały dorzucić.

WALIGÓRA I WILK

Wybawca koziołka, stary drwal Pogwizd, również zajrzał na gajówkę do Klusków, aby o tym, jak i co było z tymi wilkami, dokumentnie się przewiedzieć.

Pogwizda wszędzie po domach radzi widzieli, bo opowiadacz był z niego nad opowiadacze, a cóż nad to miłsze w te długie, zimowe wieczory, kiedy belki na strychu trzeszczą od mrozu, a wiatr doliną Popradu pędzi tumany śniegu.

Pogwizd przywitał się pięknie ze wszystkimi, a rozsiadłszy się przy kominie na ławie, wysłuchał uważnie całej historii koziołkowego czynu, opowiedzianej na wypródki przez dzieci.

- My tu śpimy, jakby nigdy nic - paplały jedna przez drugą wszystkie trzy dziewczęta - a tu ci do drzwi: „Bach!... bach!... bach!...”

- Łomot taki, jakby się dom przewracał!...

- To my się pozrywali na równe nogi!

- Pali się czy co?!

- Myśleliśmy, że zbójniki!...

- Dziopy się pod łóżko pchają, że tylko im pięty widać! - przygaduje Jędrak.

- Ale, pięty!... Jędrak sam się za piec wpakował!

- A nasz tata drzwi otwiera - a to on, ten nasz koziołek!...

- Ano, widzę, że żadnemu niedojdzie ani ciamcialamci życia nie uratowałem, tylko harnasiowi koziego rodu! To mam w tym i swoją chwałę! - pyknął z fajeczki Pogwizd i przyjrzał się spod oka sarnikowi baraszkującemu z Rózią.

- Tęgi z niego kozioł rośnie, ani słowa, ale nie on to jeden wilczury do wiatru w Rytrze wystawiał! - Powiedział to ot tak sobie, od niechcenia, ale wszyscy od razu nastawili uszu i podsunęli się bliżej do komina, bo wiadomo było, że potoczy się zaraz najciekawsze, przejmujące do żywego opowiadanie.

- Był ci tu u nas w Rytrze jeden osiłek, będzie temu ze sto roków albo i więcej. Kacper Waligóra mu było, mojej babce wujecznym prapradziadkiem przypada. Młyn wodny na Roztoce do niego przynależał. To powiadali o nim, że koło młyńskie na pełnych obrotach gołymi rękami zatrzymywał, a z ryterskiego zamku strasnymi lochami pod górą Makowicą do Nawojowej się przedarł, kamienie, co mu drogę zawałały, krusząc.

Od tego ponoć wiódł swoje przezwisko.

Wracał ci raz ów Waligóra zimą z hali Przehyby, a zima była śnieżysta i wilki nocą stadami ciągnęły na rozboje.

Żadna wieś od nich spokoju nie miała.

Idzie ów Waligóra lasem, a miesiąc już na niebo wypłynął nad Makowicą.

Nagle słyszy: „Auuu! Auuuu!...” - z radziejowskiego zbocza przeciągły a ponury głos się niesie nad borami.

„Ejże, toż to głos słowika, co źrebięta łyka” - zaśmiał się Waligóra. Wtem patrzy... patrzy, a tu mu coś między pniami migło...

Przygląda się lepiej - a to ci wilczysko, basior potężny, szuba na nim wełniste podbita. Sznuruje równo z nim, na boki się kołysze, jak to wilki, to z prawa, to z lewa mu zachodzi.

„Pockoj, basiorze jeden, tyś mądry, chcesz mnie zjeść na wieczerzę, ale i ja niegłupi, to się nie dam!”

Ano nic, idzie dalej, a to wilczysko wysforowało się naprzód i stanęło na samym środku drogi, a on, ten Waligóra, idzie dalej jakby nigdy nic.

Zebrał się ten basior w sobie, kły wyszczerzył, polanem zamajtnął - i fyrg! - prosto na Waligórę.

Ale ten Waligóra - myk - smyk! Pyrgnął w bok i basiora - łabas! za ogon! Zanim

jeszcze łapami zdążył ziemi dotknąć!

Jak go nie okręci, jak go nie puści młyńcem wokoło siebie, to ten wilczur nie wiedział, gdzie niebo, a gdzie ziemia, gdzie ma grzbiet, a gdzie pazury! Karuzeli na własnym ogonie użył za wszystkie czasy, a jak go Waligóra wreszcie puścił, to śmignął jak strzała z procy, a upadłszy o trzy staje w śnieg, kręcił się dalej i ponoć kręci się do dzisiaj miesięcznymi nocami!

„A widzisz, basiorze bury, nie tykaj Waligóry!” - powiedział mu ów Kacper Waligóra i do Rytra spokojnie powrócił.

Łoboś dawno już chrapał w budzie, a koziołek w śniegu pod płótem. Nad Zamkową Górą wzeszedł młody miesięczek w kształcie rogalika, a ujko Pogwizd prawił a prawił swoje gadki do późnego wieczoru...

ROGAŚ

Koziołek nie dostawał już teraz mleka. Razem z koniem i kozami chrupał siano, a raz na dzień podsypywały mu dzieci do żłobka miarkę owsa przydzielonego dla niego z nadleśnictwa.

Zima na Podkarpaciu nie szczędzi śniegu, ku wielkiej radości tamtejszej młodzieży.

Dzieci ryterskie za swoją wspaniałą, nową szkołą, strzegącą rozstają dróg między Małą a Dużą Roztoką, urządziły sobie świetny tor saneczkowy na zboczu Połomskiej Góry i saneczkowały zawzięcie.

Kluszczeni przodowały w całej tej gromadzie, śmiało w ostrych zjazdach, zwycięskie w zawodach.

Pewnego styczniowego ranka, kiedy towarzysz górskich potoków, dziarski ptak pluszcz, z białą tarczą na piersiach, nurkował śmiało w oparzelinach Roztoki, kiedy śnieg migotał tęczowo, a szczyty wyglądały jak góry z cukru - Jędrzek Kluska zabrał się do przygotowywania swoich saneczek na jutrzejsze zawody.

Koziołek, który wszędzie musiał wpakować swój czarny, wilgotny nos, podszedł natychmiast i z przejęciem zaczął obwąchiwać sanki.

- Nie przeszkadzaj, stary! - odepchnął go Jędrzek.

Ale wszystkie kozły na świecie są widocznie trochę uparte, bo nasz koziołek ani myślał ustąpić. Lekko tryknął Jędrka w rękę, na znak: „Gadaj zdrow, a ja będę robił, co mi się podoba” - i dalej badał płozy sanek.

- Poczekaj no, a żeby tak ciebie do saneczek zaprząć?! Kozłisko już z ciebie wielkie! Z pół metra owśa spałaszowałeś, mleka wydoiłeś ze cztery stągwie! To dopiero będzie dziwo nad dziwami, jak na zawody w kozła przyjadę!

I niewiele myśląc, zaczął Jędrak z zapalem uprząż dla kozła majstrować ze sznurków i starych rzemyków.

Ale koziołkowi wcale to nie przypadło do gustu, szarpnął się raz i drugi, a kiedy to nie pomagało do wyzwolenia się z krępującej go uwięzi, tryknął z całej siły swojego gospodarza w nogę powyżej kolana.

- Oj, takiś to ty?! - syknął z bólu Jędrak. Podgiął nogawicę spodni i zobaczył ze zdumieniem na swoim udzie dwa sinawe dołki.

- Aa, toś ty taki! Poczekaj - nachylił się nad czołem wychowanka, obmacał je uważnie i roześmiał się na cały głos. - Widzicie go, rogacza jednego! Rogi mu już rosną, a sam jeszcze od ziemi nie odrósł!

I rzeczywiście wśród brunatnej sierści na wierzchołku czaszki koziołka torowały sobie drogę dwa twarde, tępe kikutki, powleczone mechatym futeralikiem, mięciutkim jak skórka brzoskwini.

- Słuchajcie! Słuchajcie! - wpadł jak bomba do domu Jędrak. - Naszemu koziołkowi już rogi rosną, jak nie wiem co!

Dziewczynki na tę wieść wybiegły przed sień i dopadły do kozła.

- Pokaż, jakie masz rogi, ty rogaczu! - wołała Józia, a Rózia już klęczała przy nim na śniegu i palcami badała jego czoło.

- Masz, masz różki, rogasiu! - zawołała radośnie.

- Rogaś! Rogaś! - podchwyciła Józka.

I tak już zostało na dobre. Nikt inaczej już nigdy nie powiedział o koziołku jak tylko Rogaś i Rogaś.

BIAŁA ŁATA

Ale jego pierwsze, młodzieńcze parostki niedługo trwały, już w lutym utracił tę pierwszą ozdobę koźlej głowy. Natychmiast jednak zaczęły mu rosnać nowe różki w miękkiej pochewce scypułu.

- Teraz to jeszcze bajki, ale jak ten wasz Rogaś zacznie te swoje nowe parostki ze scypułu czyścić na wiosnę, to nam w sadzie wszystkie drzewka obedrze z kory, zobaczycie! A ja go wtedy przepędzę na cztery wiatry! - zapewniał gajowy dzieci.

Odkąd rogi zaczęły rosnać koziołkowi, zrobił się jeszcze bardziej wścibski i zaczepny.

- Wyrządne takie to koźlisko, że wytrzymać niepodobna - skarżyła się gospodyni.

Wszystkie psy z całej wsi, jakie mu się tylko nawinęły, czy to były małe, piskliwe ujadacze, czy dostojne i groźne białe owczarki, atakował z czołem przy ziemi, tak zapamiętałe, że umykały ze skowytem, kładąc po sobie uszy i podkulając ogony.

Jedynie z Łobosiem zawarł przymierze tak ścisłe, że nieraz obiad chleptali z jednej miski.

W kuchni lubił się „szarogęścić” po swojemu, zaglądając do wszystkich wiader, ceberków i płącząc się ludziom pod nogami.

Nie zawsze na tym dobrze wychodził.

Któregoś dnia podsunął się przypadkowo prawym bokiem pod strumień ukropu odcedzanego przez gospodynię od ugotowanych tylko co klusek.

Szczeknął strasznym głosem, bryknął na środek izby, a potem długo wylizywał, przeginając się w pałąk, brzydką, czerwoną, oblażłą z sierści łysinę. Sierść odrosła na miejscu sparzenia, ale już nie kasztanowatopłowa, jak dotąd, lecz zupełnie biała.

- Widzisz, zabijako, wyrządniku jeden, a toś sobie piwa nawarzył! Jużes teraz znaczny, już masz pieczętkę po Kluskach, nie zginiessz nam! Po tej łacie poznamy cię, bracie!
- żartował sobie z Rogasia gajowy.

I znowu nadchodziła wiosna. Poprad szumiał wezbranymi wodami. Roztoki pędziły ku niemu, burząc się po kamiennych progach. Czarne, lśniące jak smoła, złotoplamiste salamandry wychodziły po deszczu na świat, ptaki w najlepsze słały gniazda, śpiewając na wszystkie tony żarliwy hymn na cześć wiosny, dziecięta bębniły na alarm, a Radziejowa i Makowica przyodziewały się nieśmiałą, jaśniuchną buczynową zielenią.

I wtedy właśnie stało się to, co przewidywał gajowy.

Pewnego ranka dwie młode jabłonki, w których właśnie wiosenne soki zaczęły krążyć, stały do połowy odarte z kory, ale za to rożki Rogasia, ostre i lśniące jak sztyleciki, wyłoniły się z miękkiego futerału.

- Mamo, Rogasiowi rogi się wyłusknęły ze scypułu, ale dwie jabłonki odarł w sadzie!
- wpadł do domu z alarmującą wieścią Jędrrek.

- Ojej, to go teraz tata na cztery wiatry przepędzi! - podniosły lament Józia i Rózia.

Trzeba było jakoś biedzie zapobiec, bo z tatą nie ma żartów.

Obdarta korę jakoś się poprzykładało na dawne miejsca i obandażowało łykiem - może się jeszcze „za świeża” zrośnie - a Rogasia z trudem zagnano do kojca.

- Widzisz, coś nabroił, Rogasiu, łatku utrapiony, same z tobą zmartwienia, siedź teraz za karę w kojcu! - przemawiała do koziego sumienia Rózina.

Ale niewiele widocznie ta Rózina przemowa skruszyła krnąbrnego kozła, a kojec niewiele dla niego znaczył, bo zanim dziewczynki zdążyły przejść z obórki do domu, kozioł już na środku podwórka doskakiwał do białego gąsiora, który, posykując w śmiertelnym strachu, umykał pociesznie boczkim, telepiąc się na koślawych łapach.

Jakoś się Rogasiowi i tym razem upiekło.

- Dwie jabłonki jeszcze można darować, ale się go teraz strzeżcie. Takie ostre rożki to nie żarty! To już nie sysak - oho! - ostrzegął ojciec.

I rzeczywiście, z chwilą kiedy rogi koziołka wydobyły się ze scypułu niczym sztylety z pochwy, choć były to dopiero pojedyncze parostki, wszyscy, nawet domownicy, musieli się mieć na baczności.

Szczególnie zawzięcie atakował kobiety, widocznie drażniły go ich rozwiane wiatrem spódnice.

Toteż obejście Klusków zaczęto omijać, jakby go strzegły najzjadlejsze brytany, i to w dodatku pozostające na swobodzie.

Trzeba się było pilnować tego „Łatka” Rogasia na każdym kroku, bo jeżeli nie gonił dzieci powracających ze szkoły czy też kobiet niosących wodę z rzeki, to potrafił podskoczyć zręczniej od mistrza - bramkarza i nastawiwszy rożki, przedziurawić piłkę w locie.

LAJKONIK

Ale największą jego pasją było zrywanie z płotów i ze sznurów wszelkich suszących się szmat, bielizny i odzieży.

Zaczepiał tkaninę ostrymi rożkami, podrzucał w górę i przydeptyjąc raciczkami szarpał na strzępy.

Dziewczynki opłakiwały skrycie niejedną fartuszek i chusteczkę, nie chcąc narażać ulubieńca...

Zbliżał się koniec kwietnia. Dzień Lasu w Rytrze miał być obchodzony uroczyście i pięknie. Na łąkach nad Popradem, na wprost Zamkowej Góry, już ustawiono pod potężnymi topolami i prastarą lipą estradę z desek, tam miała się odbyć cała uroczystość.

Ryterski Świetlicowy Zespół Pieśni i Tańca, w którym Marysia Kluszczanka śpiewała swoim czystym, dźwięcznym głosem, wystąpić miał z miejscowymi starymi piosenkami Podkarpacia.

Już próby były w pełnym toku, a Marysia przez cały dzień, jak długi, przy każdej robocie nuciła nieustannie.

Tylko parę dni już dzieli od uroczystego występu, może nawet z samego Krakowa i z Warszawy przyjadą różne „ważne goście”. Bo i pewno, ryterskie lasy to nie „ogródek cioci Fruzi”! Zespół nie może się powstydzic!

Zabrała się Marysia szmaty prać w Roztoce. Na płaskim, szerokim kamiennym progu przyklękła, kijanką w lnianą koszulę praska do taktu i wyśpiewuje Z zapalem, że aż górską pliszka z żółtym brzuszkiem, dziarski a wścibski przyjaciel strumieni, choć wcale nie bojaźliwa, przefrunęła z pobliskiego głazu aż pod most, bo nigdy nie wiadomo, co do głowy strzeli takiej hałaśnicy!

A Marysia ciągnie swoją nutkę, wybijając takt kijanką:

*Hej, pod Makowicą
bystry Poprad płynie!
Szumne wichry liczą
listki na buczynie!*

Prask! Prask! Prask! - ciapie kijanka w koszulę, że aż kropelki wody tryskają.
- Ej, hej! Maryś! Wiesz, co to takiego?

*Baba młóci, choć nie wieje,
co wymłóci - na się wdzieje!*

Na moście stoi Kuba Pogwizd, największy w całym Rytrze kpiarz i żartowniś, a oczy mu się do Marysi śmieją.

Ale Marysia, jakby nie słyszała tej zagadki, pierze bez przerwy, przeginając się rytmicznie, że tylko słońce migota w jej ciasno splecionych, upiętych z tyłu głowy warkoczach, i wyśpiewuje dalej:

*Niejedna, niejedna gałązeczka w lesie!
Jedna się uniży, druga się podniesie!
Wierszyczku zielony, dołu pochylony,
Od popradzkiej strony bukiem obrośniony!*

A tymczasem w domu matka, przygotowując wszystko zawczasu do występu Marysi,

wyjęła ze starej, drewnianej skrzyni prześliczną krakowską spódnicę, z lekkiego tybetu zielonego w czerwone róże, ale że pachniała wcale nie różami, ale po prostu naftaliną, więc ją rozwiesiła na płocie, żeby wywietrzała trochę z tego zapachu.

Rozejrzała się gospodyni przezornie dokoła, bo wiadomo było, jakie niebezpieczeństwo zagraża pięknej spódnicy, ale kozła nie było nigdzie widać.

„Za Różką, widać, poleciał do przedszkola!” - uspokoiła się gospodyni zamykając dla pewności furtkę. Ale ledwo zdążyła na chwilę wejść do domu, już nie wiadomo skąd po tamtej stronie płotu wyrósł jak spod ziemi Rogas - we własnej kozłej osobie.

I oto okazało się niezbitcie, że płot i zamknięta furtka przestały być jakkolwiek zaporą przed Rogasiem. Jeden lekki skok z miejsca i przeszkoda pokonana, już jest tam, gdzie mu się podobało - na podwórku.

Zielona spódnica w czerwone róże na płocie to właśnie coś dla niego! Powąchał i kichnął - brrr! Jadalna nie była bynajmniej, pomimo tak obiecujących kolorów, ale zabawić się nią będzie można znakomicie!

Nie mógł jednak wiedzieć biedny Rogas, że nie była to zwyczajna spódnica - tylko taka do tańca, i to do tego pierwszej taneczniczki w zespole!

Ledwo ją koziołek tknął rogami, zamiast upaść bezwładnie na ziemię jak każda inna szmata i pozwolić się podeptać kozłim kopytom i poszarpać kozłim rogom - to ona, jakby tylko na to czekała - frrr! do góry, niczym w hołubczyku, i - hooop! skoczyła Rogasiowi na głowę, zasłaniając mu oczy, uszy i całą szyję!

„Oj! Oj! Ratunku! Co się stało??!” - świat cały zginął naraz sprzed kozłych oczu!

Bryknął kozioł na ślepo w lewo - rozbił się o płot! Rzucił się w prawo - gruchnął się o studnię.

Zaczął głową potrząsać, płasnąć, podskakiwać, a zielona spódnica - nic, siedzi na kozłej głowie, jak siedziała, czerwonymi różami się śmieje!

Skacze kozioł, bryka jak oszalały na środku obejścia, nie wie, jak tego wroga, co mu świat jasny zasłonił, się pozbyć...

A tu właśnie, trzeba trafu, zdążyła na ten czas do Klusków ciotka z Połomi i gorset stary, kolorami wyszywany rozmaicie, dla swojej ulubienicy, Marysi, do stroju na występ niosła.

Mija ciotka właśnie kładkę na Roztoce i cieszy się, jak też to Marysi ładnie będzie w tym gorsecie.

„Wstążek kolorowych tylko nie żałować, nawiązać, ile się da! A spódnicy, tę zieloną

w czerwone róże, przyoblec - to aż oczy będzie rwało w tańcu!”

Ledwo to poczciwa ciotka zdążyła pomyśleć, a tu: „Co to?... Świat się do góry nogami przewraca! Co to za dziwo?”

Spódnica Marysina, właśnie ta zielona w czerwone róże, sama, bez gorsetu i bez Marysi, na koźlich nogach po podwórzu wywija.

„Czary jakie czy lajkonik z krakowskiego rynku przyleciał do Rytra?!”

Kto inny może by wziął nogi za pas i drapnął, ale ciotka z Połomi nie taka znowu strachliwa, a mocna w języku nad podziw.

- Ej, hej! Olaboga! Spódnica na koźlich nogach! Z domu uciekła, po podwórzu skacze jak wściekła! - Ratunku! - zakrzyknęła ciotka na całe obejście.

Na to wezwanie wybiegła z domu Kluszczyzna, dopadła od rzeki Marysia i wspólnymi siłami zapędziwszy kozła w kąt między obórką a drwalką, nie uszkodzoną spódnicę z roztrzęsionego łąba ostrożnie mu zewlekły.

- Wyrządniku jeden! Ty się dochrapiesz, wszyscy ci to mówią! - przygrażała mu gospodyni.

- Takiego wyrządnika do lasu mietlą przepędzić i jeszcze po tym białym zadku ożogiem przyłożyć na drogę! - wytrząsała pięściami nad Rogasiem ciotka z Połomi, choć oczy jej się śmiały z uciechy.

- Najlepiej to go w kojcu z wieprzkiem zamknąć; jak trochę posiedzi - to się ustatkuje! - doradzała.

Ale gospodyni tylko machnęła ręką.

- Nie ma już na tego podryganta zamknięcia, przez kojec podskoczy, a na dodatek jeszcze mi wieprzka poturbuje!

Tylko Marysia nie brała udziału w tym babskim sądzie nad rozpustnym koziołkiem. Była pochłonięta całkowicie przeglądaniem swojej pięknej spódnicy na występy, czy aby gdzie od Rogasiowych rożków nie ucierpiała.

DĘBOWY WIENIEC

Dzień Lasu w Rytrze obchodzić mieli wszyscy, kto tylko żyw, od najmłodszych do najstarszych.

Sam nadleśniczy zapowiedział, że lasy podkarpackie ucierpiały bardzo w czasie wojny i trzeba je ratować, zadrzewiać, co się da, bronić resztek kniei i borów, godnych tradycji puszczańskiego kraju.

Obchód miał być więc nie byle jaki - zjadą okoliczne szkoły i sąsiednie nadleśnictwa.
Trzeba wystąpić godnie.

Już chłopcy w gorączkowym pośpiechu wykańczają budki dla ptaków, już w pocie czoła z usmarowanymi na zielono nosami malują na deskach hasła, które się będzie niosło w pochodzie.

„Dużo ptaków - zdrowe lasy! Dużo lasów - zdrowe dzieci!” i staropolskie, piękne hasło:

„Kto sieje lasy - pożyteczny po wsze czasy!”

Nauczycielka, Maria Czechówna, uczy chór szkolny starych, sądeckich piosenek z pięknego zbioru swojego ojca, a wesola „pani od wuefu”, Stefania Laskowiecka, ćwiczy zespół taneczny w nowym, zabawnym tańcu.

„Panny Dębianeczki” w zielonych spódniczkach i wiankach żółdziowych, rozskakane jak koniki polne, śpiewają:

W dziupli, w dziupli na porębie

tam mieszkają w starym dębie

Dębianki!!

Dębianeczek pełno wszędzie.

Łapu - capu! Hej, żółdzie

na wianki!

Gajowemu Klusce przypadła do wykonania ważna czynność. Już o świcie wyruszył w swojego siwka do szkótek leśnych w dolinie Dużej Roztoki i przed południem wrócił z wozem wyładowanym po brzegi.

W drewnianych skrzynkach tkwiły jak murawka sadzonki drzew leśnych, utkane gęściutko i przykryte wilgotnym zielskiem.

Tył wozu zajmowały szychary, przywiezione z leśnictwa w Roztoce. Były to wydłużone, ciężkie łopaty z lanego żelaza - do sadzenia lasu.

- Ja to będę tym szycharem - ziuuu - dołki kopał! - chwalił się Jędrak.

- A my będziemy drzewka sadzić i przydeptywać ziemię! Przydeptywać!

Nie warto było z tym ładunkiem jechać do nadleśnictwa, bo matka już wzywała na obiad. Pośpiech naglił, bo po obiedzie jeszcze moc roboty czekało.

Kiedy dojadali zupeł, Jędrka jakby coś tknęło. Wstał, wyrztał przed sień i podniósł wrzask na całą wieś:

- A kysz!... A kyyysz!...

To nie kto inny, tylko Rogaś, przekonany, że wyłącznie dla niego przywieziono te leśne smakołyki - wskoczył na wóz i był na najlepszej drodze do połknięcia całego tego przyszłego lasu.

A na równiutkich jak stół łągach Popradu, porośniętych gęstym kobiercem zielonej murawy, ulubionych przez dzieci i białe ryterskie gąski, u stóp odwiecznych cienistych topoli ćwiczyło swój program - przedszkole.

Dzieci trzymając się za ręce podskakiwały leciutko jak świerszczyki, piskając swoją piosenkę:

*Zielony walczyk tra - la - la!
tańczą go dzieci z Podhala!
Tańczą go w Rytrze, Piwnicznej,
zielony walczyk prześliczny!*

Wśród rozbawionej i przejętej gromadki dzieci płał się koziołek, który przybiegł tu za Józia i Rózią, a nie mając tu wiele do roboty, pętał się wszystkim pod nogami, przeganiany z miejsca na miejsce.

Zaciekawiał się wreszcie bibułkowymi strojami rozłożonymi na wzniesieniu Z desek.

Nikt tego nie zauważył, dzieci ani ich wychowawczynie o niczym nie wiedziały poza swoim „zielonym walczykiem” i płały dalej wyśpiewując:

*Zielony walczyk niesie nas,
Poprad nam śpiewa, szumi las!
Rośnij nam, lesie, na halach,
zielony walczyk - tra - la - la!*

Rogaś tymczasem obwąchał dokładnie jakąś piękną bibułkową koronę Z dębowych liści i żołądzi, a przekonawszy się, że i ona nie jest jadalna, miał już dość widocznie tych naśladownictw, bo tryknął ją zawzięcie głową, jakby chciał powiedzieć:

„A masz, wstręciuchu!”

Jak już było jednak powiedziane, prześladował kozła tego dnia wyraźny pech, bo oto stała się rzecz zupełnie przez niego nie oczekiwana - jego ostre rożki wczepiły się między druciki wianka i przerażony Rogaś został omotany Ze wszystkich stron szeleszczącymi wstęgami we wszelakich możliwych kolorach.

Przerażony potrząsnął głową, wstęgi też się zatrzęsły i zaszeleściły jeszcze mocniej. Bryknął, podskoczył - i one podskoczyły z szumem.

Więc puścił się, oszalały ze strachu, co sił w nogach, i dalejże harcować po błoniu, żeby uciec, żeby się uwolnić od tego niepojętego prześladowcy.

Ale wysiłki jego były daremne. Im szybciej pędził, tym mocniej furkotała długim ogonem w postaci wstąg ozdoba jego głowy, nadziana na rogi.

Robotnicy, piłujący pieńki na niedalekim placu drzewnym, zaniechali na chwilę roboty i stanęli zaskoczeni.

Widok był, trzeba przyznać, niezwykły. Ten młody leśny kozioł, harcujący po zielonym łągu, nad rzeką, w dębowym wieńcu na rogach, wyglądał jak żywy symbol Dnia Lasu.

- Takiego ci jutro pokazać!

- Powinien pochód otwierać! - żartowali tracze.

- Koziołek w wianku! Koziołek w wianku! - klaskały z radości maluchy.

Tylko właścicielka wianka, Jadzia, i jej mała siostra, Bogunia, goniły Rogasia popłakując:

- Oddaj koronę! Oddaj dębową koronę!

Na nic się jednak nie zdało zabieganie mu drogi i żadne zasadzki, dopóki jakaś gałąź, pod którą przebiegał, nie zdarła mu z rogów żalonych strzępów dębowego wieńca.

KULIG

Po każdej grubszej psocie zapowiadano Rogasiowi surowo, że jeśli jeszcze raz coś podobnego się zdarzy, wróci do lasu.

Ale zawsze jakoś serca potem miękły i darowywano mu przewinienie. Bo cóż to była za radość na przykład, kiedy dla ryterskich dzieci szkolnych urządzano kulig, a Rogaś go uświetniał swoim udziałem!

Zdarzyło się to zaraz następnej zimy.

W słoneczny, śnieżny ranek, kiedy to lekki mroźnik kazał złotym iskierkom tańczyć w powietrzu, a obwalone śniegiem gałęzie jodeł jak napuchnięte łapy leśnego potwora zwisały bezwładnie z drzew, po całej wsi gruchnęła radosna wieść:

- Dzieci jadą kuligiem!!

I oto już przodem pędzą duże sanie z janczarami, zaprzężone w parę koni, w saniach siedzą nauczycielki z kolorowymi proporczykami na wysokich tykach, a za saniami, na

długich linach - narciarze i saneczkarze, kto się tylko gdzie zdołał ucześcić! Tętnią metalicznie janczary, parskają konie, pędzi kolorowy wąż roziskrzoną i równiutką jak stół doliną Popradu, tą samą, którą sześćset lat temu zagony tatarskie parły na podbój Polski.

Furkające w pędzie nad saniami proporczyki potrącają pochylone nade drogą konary, a białe, nawisłe łąpska gałęzi strzepują całe tumany śniegowego pyłu dzieciom za kołnierze.

Śmiech i pokrzyki niosą się wysoko, aż po szczyt Zamkowej Góry, po same ruiny odwiecznego zamku, który od czasów najazdów tatarskich takiego zgiełku chyba nie słyszał.

Hej, kuligiem! Kuligiem!

A trzymaj się w biegu!

Zgubiliśmy Jadwigę,

bo ugrzęzła w śniegu!

Heeej! Kulig! Kulig! Kulig!

Pokrzykują radośnie dzieci ile tchu w piersiach.

Za dziećmi pędzą, puściwszy uszy, języki i ogony na wiatr, ich psy, różne wsiowe kundelki: Reksie, Łobosie i Kruczki, a między nimi, najważniejszy ze wszystkich, we własnej kózlej osobie on - Rogaś!

Pęd go upaja. Już nie pilnuje się saneczek Józi i Rózi ani nart Jędrka. Już wyprzedził psy, sanki i nawet konie. Już on, widłak - dwulatek, jak przywódca sadzi naprzód, prowadzi cały kulig.

Jego młodzieńcze, rozwidlone zaledwie rogi wieńczą mu dumnie głowę, migają w słońcu; zda się, że lśnięcymi raciczkami wcale nie tyka ziemi, że płynie powietrzem, taką rozwija szybkość swoich polotnych, chłonących przestrzeń nóg.

Dziecięce twarze rozkwitają rumieńcami jak maki, oczy płoną.

A uważaj na zakręty,

bo zostawisz w śniegu pięty!

- piskają dyszkancikiem dziewczęta.

A zbyrkajcie, janczary,

bo nas gonią Tatary!

Kulig! Kulig! Kulig!

- pokrzykują dziarsko chłopcy.

Przed chaty, mijane w pędzie, wybiegają ludzie.

- Ej, rety, przypatrza się tylko, jak też to ryterskie dzieci kuligiem jadą!

- Kozioł! Kozioł na przedzie - cały kulig wiezie!...

No i jakże było nie wybaczyć Rogasiowi jego zbytków i psot za taką piękną chwilę radości i chwały, a prócz tego któż inny potrafił tak dobrodusznie spać niekiedy z kotem na przypiecku, z Łobosiem spożywać obiad z jednej miski i babci podrzucać nosem rękę, żeby go drapała za uchem.

Uchodziły mu więc bezkarnie jego sprawki, ale - do czasu.

Już dwie pary jego rożków zdołały ścianę nad łóżkiem Jędrka, już po raz trzeci wyłuskały mu się ze scypułu zgrabne rogi o trzech rozgałęzieniach, wyrastające z pięknej jak klejnot, uperlonej róży.

Rogaś rozpoczął czwarty rok życia, był już tęgim i rozrośniętym kozłem, kiedy pozwolił sobie na wybryk, który zadecydował o jego dalszym losie.

PRZEBRANA MIARA

Wiosna nawiedziła na dobre dolinę Popradu.

Pewnego majowego rana kukułka po raz pierwszy zakukała w brzozowym gaju. W bukowym lesie odezwał się melodyjny flecik wilgi, korony starych jaworów nad rzeką wypełniły się ptasim świergotem, a wezbrana Roztoka ze swoją srebrną piosenką spieszyła ku Dunajcowi.

Pomimo tego radosnego pochodu wiosny - zajęcia domowe ludzi musiały iść swoją zwykłą koleją.

Krzążąca się, jak co dnia, przy gospodarstwie babka Kluszczyna, chcąc sobie oszczędzić trudu wyciągania ciężkiego wiadra ze studni, nasypała ziemniaków do wiklinowego koszyka i poszła je przepłukać w rzece.

W tej chwili Rogaś, swoim zwyczajem, jakby wyrósł spod ziemi i spokojnie, układnie, niczym domowy piesek, podreptał w ślad za swoją opiekunką.

Nic nie zdradzało w zachowaniu kozła jakiegokolwiek podniecenia. Ale któż odgadnie, co się dzieje w taki wiosenny dzień pod najeżoną rogami czaszką kozła... Jak się tam płaczą i wiążą pojęcia.

Może migająca przed nosem babcina spódnica wydała mu się nagle groźnym rywalem

- kozłem, którego trzeba za wszelką cenę pokonać?!

Od tego przecież głowę miał uzbrojoną w ostre jak sztylety rożki.

Co sobie wyobraził w tej chwili Rogas - nikt się nigdy nie dowie, ale faktem jest, że z chwilą kiedy stara Kluszczyna przyklęła na szerokim głazie i nachyliła się nad nurtem strumienia z koszykiem - kozioł nagle najniespodziewaniej pochylił czoło, bojowo zamachał głową, tupnął raciczkami, że aż skry trysnęły z kamieni - i ruszył do ataku na domniemanego wroga...

- Luuudzie, ratujcie!... Na poomoooc!... - rozległ się rozpaczliwy krzyk powalonej jednym ciosem rógów kobiety.

Wybiegli ludzie z domów, od mostu rzuciły się na pomoc bawiące się tam dzieci.

- A huuzia!... A huuzia! Wyrzadniku!...

Odegnano kijami rozjuszonego kozła, który w bojowym zapamiętaniu szarpał rogami odzież swojej ofiary.

Babka Kluszczyna leżała na głazie w poszarpanym żałości i zamoczonym wodą strumienia przyodziewku.

Po rozigranych falach bujała wesoło jej kobiałka, a na płytkim dnie rzeczki widać było wyraźnie zatopione ziemniaki.

Tego dnia powiedział gajowy do kozła:

- Przebrałeś miarę, dzikusie, już teraz twoje miejsce tam, skąd przyszedłeś - w lesie, a nie między ludźmi! Tam będziesz mógł do woli ze swoimi rogami harcować, póki ci ich nie przytrą!

Wobec tego, co zaszło, nikt nie śmiał się sprzeciwiać. Wszyscy czuli doskonale, że już inaczej być nie może, że kozioł tym niewczesnym wybrykiem sam na siebie wydał wyrok.

Nawet dziewczęta przycichły, oczekując ze ściśniętym sercem dalszego losu niebezpiecznego wychowanka.

Łatwo jednak powiedzieć: „miejsce twoje w lesie”, ale w jaki sposób dużego, silnego kozła zmusić, żeby tam pozostał?

Łamano sobie głowę nad sposobem pozbycia się groźnego wychowanka. Rada w radę - wszyscy gajowi i leśniczowie z Rytra, obu Roztok, Rzyczanowa, Przysietnicy i Suchej Strugi postanowili jednogłośnie, że Rogasia trzeba wywieźć wozem w głąb lasu i tam pozostawić.

- A żeby nie widział drogi i nie rozeznał, którędy wracać, trzeba go wpakować do worka! - orzekła Kluszczyna, kiedy się dowiedziała, że wyrok na Rogasia zapadł!

Ale gajowy Kluska był innego zdania.

- Oho, mojaś ty, nie taka to łatwa sprawa, to indora można wpakować do wora i będzie siedział jak trusia, ale nie kozioł! Miotalby się tak, że nogi by sobie połamał, a worek rozniósł i poszarpał rogami w strzępy. Nie znacie wy jeszcze, widać, tego koziego rodu! Znajdziemy na niego inny sposób!

I zabrał się, nie zwlekając, do klecenia ze starej paki klatki na odstawienie kozła do lasu.

A potem, kiedy gotowa klatka stanęła pośrodku podwórka, to się okazało, że ani mowy nawet nie ma, żeby do niej Rogasia po dobrej woli zaprosić.

No i zaczęło się widowisko nad widowiskami, kiedy to jeden zadzierzysty koziołek dziesięciu chłopu wodził za nos po całym obejściu.

Tu uskoczy, tu tryknie, tu się wymknie, tu kopnie, tu rogów nadstawi. Samego nadleśniczego i sekretarza nadleśnictwa, dzięki którym mleko pił i owies chrupał tyle czasu, nie oszczędził, jednego poczęstował racicą, drugiemu o mały włos zębów nie wybił rogiem.

Przez pół godziny się z nimi kramarzył, po wszystkich kątach wodził, zanim go zdołali wreszcie do nastawionej klatki wepchnąć.

- Uff, nareszcie! - odetchnęli wszyscy z głęboką ulgą, kiedy drzwi klatki zamknęły się za niesfornym kozłem.

- A zawieźcie go Małą Roztoką het, aż pod samą Radziejową! - pouczał gajowego sekretarza nadleśnictwa, Laskowiecki.

- No, no, już ja go wywiozę tak, że prędzej wilka połknie huncwot, niż drogę do domu znajdzie!

Przód klatki, sklecony ze szczebelków, przykryto starannie workiem, co miało utrudniać Rogasiowi orientację w terenie. Siwy koń, Kuba, zaprzężony do półkoszków, ruszył sprzed ganku gajówki. Rogaś, nie przyzwyczajony do zamknięcia w ciasnej przestrzeni, miotal się po klatce jak szalony.

Kiedy wóz podskoczył parę razy na kamieniach, worek obsunął się jednym końcem i można było widzieć biednego, przerażonego więźnia.

Józia i Rózia dyrdały tuż za półkoszkami, pochlipując i trąc zadarte nosy, a kosmyki płowych włosów włożyły im do oczu.

- Tak ci go zamkli jak tygrysa w klatce! - labiedziła Rózia.

- Rogaś, a nie zapomnij nas, Rogaś! - wołały piskliwie jedna przez drugą.

- Nie zapomni, nie! Będzie listy pisał racicą na brzoźowej korze - przygadywał sekretarz Laskowiecki.

Pożegnaniom nie było końca. Wreszcie ojciec huknął na dziewczynki, żeby wracały do domu.

NAWROTY

Ale cały ten trud i wysiłek był daremny, bo kiedy Marysia przed wieczorem przestąpiła próg idąc po wodę do studni, wiadro ze szczękiem upadło jej na ziemię.

- Bójcie się bidy! Ten nicpoń już tutaj! - zakrzyknęła na cały dom.

Kto tylko żyw wybiegł przed izbę, a Rogaś najspokojniej skończył wylizywać miskę przed budą Łobosia i stukając raciczkami po kamieniach, truchcikiem pobiegł do domu, jakby go nigdy ani na chwilę nie opuszczał.

- A to się dopiero tata zadziwi, jak wróci - klasnęły w ręce Józia i Rózia, nie umiając ukryć radości, która je rozsadzała.

Tata zadziwił się rzeczywiście niemało, jak i wszyscy, że wywieziony o dziesięć kilometrów koziół przed nim jeszcze zdążył wrócić do domu.

Worek, mający mu utrudnić „pomiarkowanie”, nic nie znaczył. Miał Rogaś widocznie jakieś swoje własne, wrodzone, obce człowiekowi właściwości orientowania się w terenie.

- Takiś to ty szczwany?! Poczekaj! Na drugi raz nie wrócisz! - zapowiedział gajowy.

Tym razem już tylko sam ojciec, przy pomocy Jędrka i Marysi, uporał się z kozłem i cicho, bez rozgłosu wywiózł go w sobie tylko znane ostępy lasu.

Daleka to musiała być droga i długie kołowanie, bo wrócił, kiedy już wieczerali w domu, a kozła jakoś nie było widać.

- Wiesz, Rożka, pewno go wilki zjadły! - kiwała żałośnie głową Józia, a Rózia mocno pociągała nosem.

- Tylko te jego rożki i raciczki po lesie się walają!...

- No, cóż było począć, kiej babcię pobódl i obleczenie poszarpał! Jeszcze babcię do dzisiaj noga boli.

A trzeciego dnia nad ranem, kiedy gajowy Kluska wyszedł z domu do obrządku, pod lipami przy studni stał Rogaś.

Gajowy krzyknął ostro:

- A tuś mi, huncwocie!

Nachylił się, chwycił grudkę ziemi i rzucił w kozła.

Rogaś poderwał się i uskoczył na sam szczyt niewysokiej góry, do której zbocza tulił się dom.

Tam stanął i chwilę patrzył z góry, jakby sprawdzając, co się dzieje w obejściu, a potem zawrócił i nie spiesząc się, truchcikiem, zniknął w porannych oparach przesłaniających las.

Tak było przez kilka dni. Nawiedzał gajówkę wczesnym rankiem albo w przedwieczorną porę. Jędrrek twierdził, że nocą przychodzi do Łobosia, bo „cosik się włóczyło po obejściu, a Łoboś nie szczekał”.

Zjawiał się nieoczekiwanie, o niewiadomej porze to tu, to tam. Najczęściej stawał na górcie, jakby stamtąd nadzorował, co się w obejściu dzieje, jakby się nie mógł oderwać od życia w pobliżu człowieka.

Dziewczynki wybiegały ku niemu potajemnie z chlebem.

Stał bliski i wyraźny na tle nieba, ale już się do nich nie zbliżał. A kiedy wspinały się ku niemu z wołaniem: „Rogaś! Rogaś! Nie bój się, to my” - cofał się i nikał tak niespodziewanie, jak się pojawił, po prostu jakby się rozpułynał w powietrzu. I można by sądzić, że go tu wcale nie było, gdyby nie pozostawione na wilgotnej ziemi ślady raciczek.

Po pewnym czasie jednak przestał się pojawiać, choć dzieci ciągle wyglądały go z bijącym sercem.

Nieodrodny syn lasu widocznie powoli przyjmował jego obywatelstwo i odnajdywał w tamtym społeczeństwie swoje właściwe miejsce.

- Nie dziwota, „gdzie się kto ułagne - tam ciągnie”... - kiwała głową ze zrozumieniem tych spraw babcia.

BŁĘDNE ŚCIEŻKI

I znowu buczyna na zboczach przyodziła się złotem i szkarłatem, znowu borowiki wytknęły spod ziemi rdzawe czapy i rozpleniły się po lasach, jakby na przekór wszystkiemu, co zaczęło przycichać i zamierać przed zimą.

- Pamiętasz, Rożka, jakieśmy to wtedy z Rogasiem na grzyby chodzili?

- No! Jeszcze mu wtedy pierwsze rogi nie urosły!

- Teraz on już duży, jeżeli gdzie żyje! - pogwarzają dziewczynki wędrując na grzyby.

Wybrali się całą rodziną - matka, Jędrrek, Marysia, Józia, Rózia. Trzeba grzybów na zimę nazbierać, a zima już za pasem.

Idą doliną Małej Roztoki. Woda w strumieniu burzy się i sączy po omszałych głazach, to znowu opada z szumem małymi wodospadzikami z kamiennych progów.

Po grzyby trzeba się pisać pod górę. Tam wyżej, ku szczytowi, rozpościera się ich

kraina.

Już Jędrrek znalazł dwa borowiki, jędrne jak piłeczki z gutaperki, już matka przydybała pękatego kapelusiarza, o Marysi szkoda nawet mówić, ta zawsze ma pełny koszyk, tylko Józki i Rózi jakoś się nie szczęści.

Mają wspólny koszyk, więc się muszą trzymać razem. Zaglądają skrzętnie za każdy pień i wykrot, pod każdą paproć, przeszukują każdy krzaczek.

- Jest! Jest pierwszy! Tkwił we mchu, a zdrowiutki! Ojej! A tam zaraz drugi. Wiesz, one zawsze rodzinami rosną!

- Dawaj, Józka, kozika, obskrobiemy mu korzeń!

- Taki zdrowy, że aż chrzęści! Nawet go ślimak nie napoczął!

- A zasyp dołek ziemią!

Opuściły się z górki, wstępują na zielone zbocze. Tutaj dopiero grzyby!

Znalazł się trzeci i dziesiąty, a przy jedenastym Józka się obejrzała.

- Ojej, a gdzie to mama z Marysią?

- Hop! Hop! Mamoo! - Ale tylko jakiś ptaszek leśny furknął z gałązki przerażony - i cisza.

- Marysiuu! Jęędrrek! - Nic, głucho. Nawet echo nie odpowiada. Trafiły w miejsce lasu zupełnie obce, nie związane z żadnym wspomnieniem.

- Zawołajmy razem - raaaz... dwa... trzy... maaaamooo! Tylko wiatr w gałęziach westchnął i zwiął bukowy listek.

- Nic się nie bój, Rożka, trochęmy drogę zmyliły, ale do nocy jeszcze daleko.

- A jak do nocy drogi nie znajdziemy?... Sama wiesz, jakie tu puszcze!

- Owa, to przenocujemy w lesie!

- A wilki?

- Ty nie Czerwony Kapturek, to cię wilk nie zje!

- Śmieję się, śmieję, a na Makowicy żadnego psa nie można utrzymać, bo go zaraz wilki zagryzą!

- Ale ty nie jesteś pies, a do nocy trzy razy zdążymy do domu wrócić!

Ta Józka zawsze miną nadrabia, nic dla niej nigdy nie straszne. Podjadły trochę jeżyn i poszły dalej przed siebie, choć im było trochę markotno, ale żadnemu grzybowi po drodze nie darowały, toteż miały do dźwigania cały kosz.

Pukały na nie z bukowych konarów i śmigały wśród listowia zwinne, czarne jak diabliki wiewiórki, dzięcioł gdzieś nastukiwał wytrwale, przy jakimś wykrocie smyrgnął im prawie spod nóg duży, leśny zając, poza tym nic nie mąciło leśnej ciszy.

W pewnej chwili, kiedy właśnie mijały leśny strumyczek, w gęstwinie mignęło płowymi grzbietami stadko sarn.

„O, żeby tak był między nimi nasz Rogaś, on nie dałby nam zginąć w lesie! - przemknęła niedorzeczna myśl w udręczonej głowie Rózi. - Ale Rogasia już na pewno wilki do tej pory zjadły!”

Szły i szły, bo najgorzej było usiąść i zastanawiać się. Przedzierały się przez gąszcze, nie bacząc na to, że jeżynowe kolce szarpały im sukienki i drapały do krwi nogi, skakały przez strumienie, spierały się o kierunek, zawracały, kołowały i brnęły w coraz większy ostęp.

- Słuchaj, Józka, a jak naprawdę nie wyjdziemy do wieczora, to co?

- Wielka rzecz, już ci mówiłam: będziemy nocować w lesie.

- A wilki mało tu baranów zjadły?

Tym razem Józka już nie żartuje, ale odpowiada pewnie:

- To się wdrapiemy na drzewo! Masz zmartwienie!

- A rysie?! Nie pamiętasz, kto zabił Rogasiową matkę? Józce po raz pierwszy mrowie przemknęło po grzbiecie - rzeczywiście rysie. Zapomniała o nich. Zupełnie jej to z głowy wyleciało.

- A przecież Radziejowa to ich ojczyzna!

- Tatuś tak się tymi rysiami z Radziejowej pyszni, a one nas teraz... u - u - u - u!...

- Cichaj, nie bucz, mazgaju! Z rysiem też się poradzi!

- Jak poradzisz, kiedy po drzewach śmiga jak wiewiórka?

- To wleżę we wodę! Nie pamiętasz, co mówił ujo Pogwizd, jak młody jeleni pokrwawiony stał w potoku, a ryś na niego czatował na brzegu, we wodę nie poszedł!

- Nasz kot też do wody nie pójdzie! - chlipnęła Rózia.

- No, widzisz, to czego się martwisz? Ryś to przecież też taki trochę większy kot! Nic się nie bój!

- Ale! Od Łobosia większy, nie od kota! I kto tam we wodzie tyli czas wytrzyma? - załkała Rózia.

- To siadź i becz, że cię wilk albo ryś zeżre!

Nie zbierały już teraz grzybów, szły uparcie przed siebie, byle trafić na jakiś trakt czy dukt leśny, który by je wyprowadził z tej gmatwaniny błędnych ścieżek, przeddeptanych przez niewiadomych mieszkańców lasu, z całego tego leśnego bezdroża.

Szersza droga zawsze dokądś doprowadzi, ścieżka kołuje tylko i tumani albo kończy się nagle, nie dowiódłszy donikąd.

OCALENIE

Zmrok w lesie gęstniał szybko, już nad głowami dziewczynek zaczęły polatywać bezszelestne cienie nietoperzy. Już z przepaścistych bukowych dziupli wygrzebywały się jak leśne zjawy puchate, krąglookie sowy i przysiadając na konarach drzew, poglądały ciekawie za płatającymi się po lesie o tak niezwyklej porze małymi, ludzkimi istotami.

Dziewczynki od czasu do czasu przystawały nasłuchując, same nie wiedziały czego, jakiego zbawczego głosu oczekiwały tu, w nieprzebytej gęstwinie lasu.

A kiedy tak przystanąły w jakiejś chwili, nasłuchując i nie słysząc nic poza niespokojnym biciem własnych serc - w pobliżu zatrzeszczała raz i drugi gałązka, jakby nadepnięta w chodzie lekką stopą.

Serca w nich zamarły.

- Pewno ryś się skrada! - Różia ukryła rozognioną twarz w dłoniach, a Józia powoli odwróciła głowę, ale zastygła z wrażenia i tylko pobladłymi ustami wyszeptała jedno słowo:

- R o g a ś!...

Stał przed nimi we własnej osobie, smukły a krzepki i rozrośnięty, z piersią podaną naprzód, z rozkrzewionym trójgałęźnie porożem, rdzawy i lśniący jak pień młodej sosny.

Nie poznać by go już tak łatwo, gdyby nie biała plama na prawym boku, tak się zmienił, zmęźniał, okrzepł, rozrósł w sobie i wypiękniał przez to leśne życie.

Stał w gęstwinie młodych buczków, nie dalej od dziewczynek jak o dziesięć kroków.

Głowę uniósł do góry, rozdał czarne, wilgotne chrapy i wietrzył... wietrzył jakiś dawny, przyjazny zapach swojego dzieciństwa.

Coś widać majaczyło w jego pamięci, co go pociągało nieprzeparcie do tych drobnych, ludzkich stworzeń, zabłąkanych w jego dziedzinie.

Ani na chwilę nie spuszczał z nich swoich czarnych, wymownych, lśniących jak agaty oczu.

- Rogaś! Rogaś - powtórzyła głośniejsz Józia i nieśmiało wyciągnęła ku niemu ręce, a Różia odwróciła w jego stronę splekane oczy.

Kozioł drgnął, tupnął z lekka przednimi raciczkami i cofnął się o jeden krok.

- Rogaś! Nie bój się! Nie zostawiaj nas!

- Rogaś, pokaż nam drogę do domu!

Kozioł postąpił krok naprzód, węsząc i nie spuszczać oczu z przybyłych. Dziewczynki bały się poruszyć, żeby go nie spłoszyć!

Wydawał im się w tej chwili jedyną deską ratunku. Dopóki on jest przy nich, nic im

nie grozi.

Józia i Rózia nie umiałyby powiedzieć, jak długo tak stali naprzeciwko siebie.

W pewnej chwili kozioł odchylił głowę, schrupał od niechcenia jakiś listek z krzewu, odwrócił się powoli i ruszył przed siebie, łuskając białym talerzem na zadzie.

Dziewczynki bez wahania poszły jego śladem, choć droga jego wiodła w zupełnie innym kierunku, niż obrały dotychczas, jakby to był jedyny, niezawodny przewodnik.

- On nas wyprowadzi! Zobaczysz! Zobaczysz, Józka! - szeptała gorączkowo Rózia.

Kozioł biegł truchtem - jakimś jakby dobrze sobie znanym, wąskim leśnym przesmykiem. Nie spieszył się wcale, czasami przystawał, oglądał się na dziewczynki, wtedy i one się zatrzymywały w obawie, że go spłoszą.

- On nas dokądś wiedzie, wiesz, Rózka?

- Pewno do domu! - szeptała gorączkowo Rózia.

- Żeby nam tylko nie uciekł!

I znowu pędziły za białym lustrem kozła, jakby za zbawczą latarnią w ciemności, szarpiąc sukienki i włosy o gałęzie, gubiąc grzyby z koszyka.

To, co dla kozła było zaledwie powolnym, grzecznym truchcikiem, dla nich było cwałowaniem do utraty tchu.

W pewnej chwili kozioł znikł im z oczu, jakby się zapadł pod ziemię.

- Rogas! - krzyknęła rozpaczliwie Rózia. - Rogas! Ale Józka szarpnęła ją za rękę.

- Cichaj! Słyszysz szum?! Rozumiesz? Rzeka!

Podbiegły jeszcze parę kroków. Tu ziemia urwiskiem opadała w dół ku wijącej się w dole Roztoce. Były więc prawie tak jak we własnym domu. Toć to ich domowa rzeka - płynie tuż za płotem ich obejścia.

Jak matka za rękę, zaprowadzi je ta kochana struga do samego domu.

- Patrz, patrz, nasz Rogas tam pomyka w dole! O, widzisz, miga mu grzbiet między krzakami!

- Będzie pewno pił u tego wodospadu.

Ale nie było czasu na śledzenie Rogasia. Nie zważając już na nic, opuściły się stromym zboczem w dół i po kamieniach przepawiły się na drugą stronę wartkiego potoku. Po Rogasiu nie było już nigdzie ani śladu, zniknął tak niespodziewanie, jak się pojawił na leśnym bezdrożu, ale za to czekała już na ich utrudzone nogi dobrze znana droga Małej Roztoki Ryterskiej.

Były ocalone. Noc spędzą pod własnym dachem, a nie na gałęzi, w obawie przed

wilkiem, ani po kolana w wodzie, ze strachu przed rysiem, co już widziały oczami rozgorączkowanej przerażeniem wyobraźni.

TATA SIĘ PRZEKONA

Teraz dopiero dziewczynki poczuły, jak bardzo są zmęczone. Droga rano taka łatwa i lekka, teraz się wydała uciążliwa ponad siły.

O beskidzki lesie nieschodzony, potrafisz ty odebrać wszystkie siły temu, kto cię nie zna!

Kiedy Józka i Różia dowlokły się wreszcie przed zachodem słońca do początku wsi, ludzie wybiegali z domów, bo wieść o ich zaginięciu już się rozniosła po całym Rytrze, a nadleśnictwo zarządziło już wyprawę w poszukiwaniu zaginionych.

Matka i babka, nie mogąc wysiedzieć z niepokoju w domu, stały przy studni pod lipami, w otoczeniu sąsiadek, z których każda na swoją rękę i po swojemu starała się dodać otuchy strapionym.

- Nie pamiętacie to, jak wilki we wojnę, pod Radziejową, osaczyły dzieci, co pasły krowy, i to w samym środku lata?! - pytowała chuda Szyszkowa. - Pochowały się dzieciśka pod krowy, a co wilk do krowiego ogona, to krówsko do niego z rogami - i ziuuu! A te dzieciaczyny, moiściewy, ledwo ze strachu zipią, ale im nic nie było, bo bydlę rogate zawsze się przed wilkiem wybroni, byle mu tylko od zadka nie zaleciał!

- A dajcież spokój z wilkami! - zgromiła ją któraś sąsiadka - matce i tak z tarapatów głowa usycha!

- Trzeba po nie iść! Trzeba szukać, hukać, póki jeszcze przed nocą! - poderwała się Kluszczyna. - Tu nie ma żartów! Nie zostawię dzieci na przepadłe! Co one mi narobiły, te postrzelone kozy! Co one mi narobiły!

W tej właśnie chwili Józka i Różia ukazały się na drodze, a wygląd ich był tak żalospny, że matce wszystkie gorzkie wymówki o niepilnowaniu się gromady w lesie zamarły na ustach, a Jędrzek pisnął zza płota:

- Czupiradło z drzewa spadło, po lesie błądziło, grzyby pogubiło!

Rzeczywiście, dziewczynki wyczesane przez gałęzie w gąszczach, z włosami pomierzwionymi, pełnymi igliwia i porostów drzewnych, w poszarpanych sukienkach, z okrwawionymi, pełnymi drapańców nogami, z twarzami i palcami umorusanymi jeżynowym sokiem, z koszem, na którego dnie obijało się zaledwie parę grzybków, wyglądały bardziej na jakieś małe, leśne włóczęgi niż na dziewczynki, które dziś rankiem, w całych sukienkach i z

kokardkami w warkoczach, poszły do lasu na grzyby.

- Gdzieżeście się zapodziały?! - zawołała, biegnąc ku nim, matka.

- My nic, myśmy tylko trochę odeszły i już nie mogliśmy drogi znaleźć!

- Mamo, Rogaś nas uratował! Drogę nam pokazał!

- Żeby nie Rogaś, toby nas wilki albo rysie zjadły w nocy!

Opowiadaniom i gadkom nie było końca. Aż po Barcice i Piwniczną rozeszła się niezwykła wieść, jak to dziki kozioł, co go dzieci cumelkiem wykarmiły, zabłąkane w lesie dziewczynki na drogę do domu wywiódł.

- A juści a juści! Kozioł wziął je za rączkę i wyprowadził z lasu! - podśmiewał się z tego bajania gajowy Kluska. - W Starym Sączu na rynku obębnić o tym koźle! A po prawdzie, to było tak: szło sobie koźlisko, pod wieczór, do wodopoju w Roztoce, a one się do niego przypętały, to im ta po niewoli drogę pokazał. Zresztą, może się tam to wszystko smarkulom ze strachu przytroiło!

- Alee, „przytroiło się”! - trzęsły się córki z oburzenia na takie niedowiarstwo, nie wiedząc, jak ojca przekonać.

Same wierzyły mocno, że Rogaś „na wywdzięczenie” przyszedł je wyratować z niedoli.

Nie ulegało już teraz żadnej wątpliwości, że Rogaś żyje, że krąży po tutejszych lasach, i to było najważniejsze, najbardziej radosne ze wszystkiego.

- Tato, a czy tata... Czy nadleśnictwo będzie na zimę dokarmiało sarny w tych takich jaskach? - pytała od niechcienia Józka, że to niby wcale nie o Rogasia jej chodzi, tylko tak sobie.

- Nie, tylko same jelenie i zające - odpowiadał gajowy poważnie, zerkając filuternie spod oka na córkę.

- Eeee, z tatą to tyż! - oburzała się Józia.

- A o cóż ci chodzi?

- Tata dobrze wie o co, o Rogasia, żeby głodu nie miał!

- Fiu, fiu! Szukaj wiatru w polu! Twój Rogaś może teraz buja z tamtej strony Popradu, po czechosłowackiej stronie, jeżeli go gdzie wilki po drodze nie połknęły. Ani go tu widu, ani słychu!

- A właśnie że „widu i słychu”! Tata jeszcze obaczy! Tata się jeszcze przekona, co on potrafi, ten nasz Rogaś, i że wcale stąd nie poszedł, to jest nieprawda! - zapewniała gorąco Józka.

I rzeczywiście. Zaraz następnej jesieni wydarzyło się coś, co nawet niedowiarka,

gajowego Kluskę, przekonało, że przygoda córek nie była przywidzeniem, że mogła się zdarzyć naprawdę.

DEFILADA

Pewnego późnego popołudnia doliną Małej Roztoki Ryterskiej ciągnął długi sznur wozów. Zmierzchało się już i choć słońce jeszcze nie zaszło, liliowe cienie zaczęły zalegać strome, lesiste zbocza, doliny, kłaść się na korycie potoku i wyściełać wijącą się, wąską wstęgę drogi.

Wozy posuwały się powoli, jakby leniwo.

Koła przednie od tylnych dzieliła ogromna przestrzeń długiego w nieskończoność, srebrzystego, bukowego pnia.

Na plac drzewny, przed stacją kolei w Rytrze, jechały z dalekiej i wysokiej leśnej poręby buki - jedno z niewielu bogactw Beskidu Sądeckiego.

Tam na placu drzewnym pnie zostaną posegregowane - niektóre będą okorowane, inne, cieńsze, pocięte na mniejsze klocki, a potem wszystkie razem, załadowane na pociąg, ruszą w różne strony kraju jako bezcenny materiał budowlany i przemysłowy.

Zanim się to jednak stanie, po wyboistej, kamienistej drodze pełźnie nieprzerwanym ciągiem niesamowity, srebrzysty wąż o kilkunastu członach.

Ciężka to niezmiernie i niebezpieczna praca, taka konna zwózka drzewa.

- Ot, zarzynanie konisków - i tyle! - narzekali ludzie.

Nie było na to jednak na razie innego sposobu.

Górzysty teren, trudny dostęp do wysoko i stromo położonych miejsc ścinki nie pozwalał zastosować ciągników, dźwigów ani żadnych innych mechanicznych ułatwień. Tak więc, jak za pradziadów, doliną Małej Roztoki ściągano po dziś dzień do Rytra pnie drzewne z gór - ludzkim i końskim trudem.

Jesienne słońce, na malejącym dniu, spieszy się zapaść za połomskie wzgórze.

Już krwawą luną nad zachodem zapowiadało swoje rychłe stoczenie się za górę.

Woźnice popędzali strudzone konie.

Wtem przed nadciągającym z wolna szeregiem wozów coś śmignęło. Z lasu wyskoczył jakiś płowy kształt i znieruchomiał na samym środku drogi.

- Ki czort drogę zastępuje?! - splunął zamaszyście jadący w przodku stary Szyszka, wstrzymał jednak konie...

- Prrr! Prrr! Prrr! - wszystkie wozy, ze zgrzytem łańcuchów i hamowaniem koni,

zatrzymały się w miejscu.

- A tam co nowego?!

- Co tam za przeszkoda? - pytano od dalszych wozów. A na samym środku drogi, w miejscu gdzie Roztoka bryzgając pianą ostro zakręca pod most, stał sobie, jakby nigdy nie, dziki kozioł i zagradzał im drogę.

- Kłonicą go przez łeb, zawalidrogę! - krzyknął znany zabijaka, Staszek Lichoń, który dla swojej fantazji, by zdobyć garstkę kwiatu lipowego, potrafił z odwiecznej lipy nad Popradem konary odpiłowywać. - Kłonicą kozła przez łeb! - i rzucił się naprzód, ale go wstrzymano.

- Stój, dyrdoniu, bejdoku jeden! - zgromił go Wojciech, a inni poparli.

- My nie kłusownicy, żeby zaraz z kłonicą na kozła!

- Jakiś on do nas interes ma, kiedy nam drogę zastąpił, ten kozłisko!

- Ej, ej, wiera, przypatrzcie no się dobrze, czy mu się czasami na prawym boku co nie miga?!... - zauważył Szyszka.

- No, prawda! Biała łata jak i u mnie na portkach! - roześmiał się wesoło Kuba Pogwizd.

- Tak i co z tego, że łatka?

- Oj, widać, Stasiu, żeś światami ganiał, zamiast w Rytrze siedzieć!...

- Nie widzisz to, że kozioł łatę ma na prawym boku?!

- Co mi tam jego łata?

- Jego łata, rozumiesz, to znak, że się u Klusków wychował, w naszej wsi!

- Heej! To ten sam, co Kluszczankom drogę pokazał, jak zablądziły!

- Prawdę, widać, mówiły dziewczuchy!

- Ciekawy do ludzi ten kozioł, chociaż w dzikim stanie! - wrzało w ludzkiej gromadce, a on, rogacz wspaniały, stał naprzeciw nich uparcie i spokojnie, grodząc sobą przejazd.

- No, ustąp się, Rogaś! Dość tych ceregieli! - Pognał konie i lekko śmignął batem Wojciech Szyszka.

Konie ruszyły z wysiłkiem, a kozioł tupnął dwa razy racicą, zarzucił głowę jakby na znak zawziętego sprzeciwu i zgrabnie uskoczył w bok, ale nie nurknął w gęstwinę, przeciwnie, zatrzymał się na wzgórku nad drogą i stał tam nieporuszony w pięknej, bohaterskiej pozie, z piersią podaną naprzód i dumnie wzniesioną głową jak posąg odlany z brązu.

- Widzicie go! Dowódca, defiladę przyjmuje, kozłisko! Baczność! Prezentuj baty! - zakrzyknął prężąc się przed kozłem, z batem przy cholewie, Kuba Pogwizd, a wszyscy

gruchnęli wesołym śmiechem.

Od tej pamiętnej defilady przed kozłem, o której długo rozprawiano w Rytrze, jakoś przycichły słuchy o Rogasiu.

Coraz bardziej widocznie wsiąkał w swoje leśne środowisko i zapominał o ludziach, więc i ludzie o nim powoli zapominali.

POGWIZDOWY WNUK

Czas prędko upływa ryterskim dzieciom, tak prędko jak bystra woda w Roztoce. Już Kundzia, „siostra mleczna” Rogasia, poszła do przedszkola i wyśpiewuje, chwytając się pod boki, walczyka „Znad Popradu”. Już wnuk starego drwala, Jasio Pogwizd, który to kiedyś oplakiwał, że się u nich koziołek nie może chować, przeszedł razem z Jędrkiem Kluską do czwartej klasy. Siedzą nawet w jednej ławce, ale Jaś uczy się o wiele lepiej od Jędrka. Jest on w ogóle najlepszym uczniem w klasie.

Dziwny z niego chłopak rośnie, z tego Pogwizdowego wnuka, do swoich rówieśników niepodobny. Kiedy na zboczu Połomi pasie z innymi dziećmi krowy i owce, nie ciska kamieniami jak wszyscy inni, nie chwytą jaszczurek ani czarnych, nakrapianych złotem salamander, które po deszczu wędrują po trawie, nie strzela z procy do ptaków, nie prosi przechodzących letników o cukierki, ale siadłszy gdzieś na uboczu - czyta, że aż czasami wypieków dostaje z przejęcia, a koledzy nieraz muszą zaganiać jego trzodę.

Mimo że Jasiak nie bierze, nigdy prawie udziału w hałaśliwych i nieraz zupełnie dzikich zabawach swoich rówieśników, jest jednak przez nich lubiany, bo bez rozgłosu pomaga w lekcjach słabszym, czasami opowiada różne ciekawe rzeczy, tego, co sam ślicznie zmajstrował, użycza każdemu, kto poprosi, i wcale się nie „górnuje”.

A teraz zabiera się już nawet do sporządzania nart. Majster z niego nie byle jaki. Jego wiatraczki, wskazujące kierunek wiatru, i koła napędowe, wmontowywane w nurt Roztoki, zachwycały wszystkich letników.

Ale najbardziej pociągało Jaśka dociekanie, co się tu kiedyś działo, w jego pięknej, górzystej krainie.

Urzekały go stare podania, a zwłaszcza pewna wiadomość, zasłyszana z ust dziadka, o tym, że gdzieś wysoko, pod samym szczytem Radziejowej, znajduje się wylot niezwyklej groty, do której nie ma dostępu ze względu na bijące stamtąd „zimne powietrze”.

- Żył tu u nas w Rytrze przed laty jeden znachor, który leczył ludzi na wszystkie choroby lodem wydobywanym zimą i latem z tej groty - opowiadał dziadek Pogwizd.

Znachor umarł, grota poszła w zapomnienie, ale Jasiołek postanowił ją za wszelką cenę odszukać. „Jak tylko odnajdę - układał sobie śmiało plany - zaraz napiszę do grotolazów w Krakowie, a jak przyjadą, sam ich poprowadzę! Już oni tam się do tej groty dostaną, choćby najzimniejsze powietrze z niej było! Nie ma strachu!”

Minęła tymczasem złota jesień, nastały szarugi. Porywiste wichry miały resztkami bukowej złocistości i czerwieni i szarpały wyniosłe czuby drzew na szczytach. Coraz mniej turystów przemierzało swoimi szlakami te strony, za to nastawał czas najgorętszej pracy drwali.

Prowadzono wyrąb lasu wysoko, pod samym szczytem Radziejowej. Powrót do domu na posiłki i noclegi był bardzo uciążliwy, sklecono więc tam, na miejscu pracy, kolibę, według miejscowego, starego obyczaju.

Wykopano w łagodnej spadzistości wzgórza płytką jamę, nad nią, na dwóch rozwidlonych palach, jak na filarach, wsparto poprzeczną belkę, niczym kalenicę w dachu, a poprzeczne krokwie pokryto tarcicami, płatami kory, utkano mchem, przywalono kamieniami.

W razie deszczu na dachu koliby będzie przybywało tego futru. Ale największą osobliwością tej, od wieków tak samo stawianej, koliby beskidzkich drwali i juhasów był przyczepiony do stropowej belki drag żelazny ze specjalnym haczykowatym osękiem z jałowcowego korzenia. Na osęku tym, osmolonym od płomieni, zawieszało się nad ogniskiem, znajdującym się na zewnątrz koliby, kociołek. Drag ten jest ruchomy, a więc ognisko pod kociołkiem można zakładać według woli - bliżej albo dalej od koliby.

Póki tegie mrozy nie chwycą na dobre, można tam sypiać i pitrasić sobie posiłki.

Kiedy dziadek Pogwizd opowiedział Jaśkowi, jaką to wspaniałą kolibę sklečili, chłopak zapłonął chęcią zobaczenia jej na własne oczy, poznania życia na wyrębie, a oprócz tego snuł swoje plany: „A może uda mi się odszukać Grotę Zimnego Powietrza?! To przecież właśnie tam, pod radziejowskim szczytem!” Zaczął więc zanudzać dziadka:

- Weźcie mnie ze sobą, dziadku, na kolibę, weeźcie!

- A i cóż tam z ciebie będzie za pociecha? Drzewa nie zetniesz, konarów nie obrąbiesz, boś na to wszystko jeszcze za mały szkrab!

- Wodę będę nosił ze źródła, ogień rozpałał pod kociołkiem, gałęzie i wióry taszczył, ziemniaki obierał, kaszę i kluski warzył.

- A potem się rzadkie wyleje, a gęste wyrzuci! - przygadywał dziadek.

- Nie bójcie się! Już ja sobie dam radę, robotę znajdę i wszystkiemu podołam. Weźcie mnie, dziadku, chociaż na dwa dni!

Podręczył się dziadek dla żartu, ale przystał wreszcie, bo i jemu się uśmiechało mieć przy sobie ciekawego życia, zaradnego wnuka.

- Sposobny do wszystkiego ten nasz Jasio, niech się ta smyk do roboty drwalskiej zaprawia - powiedział Pogwizd do żony, która więcej dla zwyczaju niż z przekonania musiała trochę pomamrotać.

- Co się to, moje ludzie kochane, z bachorami wyprawia?! Za moich czasów dzieciak siedział za kominem bez całą zimę, i basta!

- Bo nie miał butów ani kubraka, aby jedną dziurawą koszulinę. I szkoły nie było - wtrącił Pogwizd, pykając z fajeczki.

- At, co tam z wami gadać! - machnęła babka ręką...

KOZIOŁ MŚCICIEL

Goracej Jaśka chęci stało się zadość. Znalazł się wśród drwali na kolibie pod radziejowskim szczytem, gdzieś w pobliżu niezbadanej Groty Zimnego Powietrza. Porywał go mocny rytm drwalskiej pracy. Tu nie było żartów! Tam gdzie się waliły z hukiem stuletnie olbrzymy drzewne - każda chwila nieuwagi mogła grozić śmiercią.

Chłopak dwoił się i troił. Pomykał z wiadrami do źródła, zbierał szyszki, chrust i wióry, rozpałał ognisko, obierał ziemniaki, biegał po mleko do pastuchów z Niemcowej, którzy nie opodal paśli krowy pozberkujące dzwonkami, gotował kaszę w kociołku zawieszonym nad ogniskiem, pilnując jak oka w głowie, żeby się nie przypaliła, a rozmyślał ciągle, jak by też tę Grotę Zimnego Powietrza odszukać.

Drwale ocenili od razu pomoc zaradnego chłopaka, nazwali go terminatorem i dopuszczali chętnie do swojej pracy.

- No, terminator, chodź piłować drzewo! Co masz darmo chleb jeść?! A żebyś aby równo piłę prowadził - bo po uszach! - żartował wesoły Kuba Pogwizd, Jaśkowy stryjo.

Jasiek ucapiał uchwyt piły i prowadził ją, jak mógł najrówniej. Piła szła ze świstem i rzeżeniem, trociny się sypały, a on cały stawał w ogniu, policzki mu pały jak piwonie i pot perlisty występował na czoło.

- Widzisz, synku, jaki to ten drwalski chleb ciężki!

- To tylko tak z daleka ładnie patrzeć! Zgrzyt!... Zgrzyt!... już! - dogadywali drwale podrwiwając z niego dobrotliwie.

Wieczorem, kiedy zmrok zapadał, a młody miesiącek wzbijał się nad Radziejową, wszyscy zbierali się w kolibie Pogwizdów. Czekać na wieczórę wspominali wydarzenia

dnia, śmiali się i żartowali.

Jasiek dosypywał do ogniska, przed kolibą, szyszek, które gorzały jak czarodziejskie kwiaty z baśni. Dziadek Pogwizd siadał nie opodal i pogwarzając z wnukiem, patrzył na gorejące szyszki, a oczy jego stawały się nieobecne i dalekie. I dzisiaj, przy pogodnej nocy, zebrano się w komplecie u ogniska.

- Opowiedzielibyście coś, stryku! - zawołał Kuba Pogwizd, a inni go poparli.

Wiadomo było dobrze na całą okolicę, że nikt tak opowiadać nie potrafił, nikt tylu gadek i przypowieściaków tutejszych nie znał, a już gdy dziadek zaczął prawić o zamku ryterskim - to ciarki szły po grzbiecie...

Wielu profesorów i studentów z Krakowa, a nawet z Warszawy, co tu przyjeżdżają na lato, zapisują każde jego słowo, a on im baję, jak było, kiedy Tatarzy huraganem waliły tędy na Polskę, a góry wokoło się trzęsły od dudnienia wielotysięcznych kopyt końskich, które przypominało daleki grzmot przed burzą...

Jako czerń tatarska zamek tutejszy oblegała, a królowa Kinga, ksieni klasztoru w Starym Sączu, z klaryskami uciekała przed nawałą tatarską w Pieniny.

Prawił też o tym, co się tu jeszcze dawniej działo, kiedy król Chrobry zamek - strażnicę kazał wzniesić nad Popradem. O tym chyba najbardziej lubił opowiadać, jako że ruiny zamku, namacalny dowód rzetelności jego słów, po dziś dzień strażowały nad doliną.

A tak mu się samo zawsze do wiersza składało:

- Ano, kiedy chcecie słuchać - to nadstawcie ucha!... Pyknął stary Pogwizd z fajki, dym precedził mu się przez gęste wąsy, jak w kurnej chacie przez strzechę, i rozpoczął:

- Z dawna to było, z dawności - w proch się już rozpadły kości. - na tronie siedział król Chrobry, waleczny ponoć i dobry, ale podłych miał wasali, co lud prosty uciskali.

A tu, w dolinie Popradu - wciąż najazdy, moc napadów! Od turbacji puchnie głowa. Poprad - to brama wjazdowa!

Popradem, Dunajcem, Wisłą - każdy chce się tutaj wcisnąć! Tędy niegdyś Rzymianiny szły nad Bałtyk po bursztyny!

Popradowym naszym jarem Węgrzyn wpycha się z towarem, pchają się tu także Czechy - to nie żarty, to nie śmiechy!

Aż zakrzyknął raz król Chrobry: „Trza z tym skończyć - pókim dobry!”

Wezwał do się Rytygiera, powiada: „Złość we mnie wzbiera! Jedź, mój wierny Rytygierze, wybuduj strażniczą wieżę! Z tej strażnicy sięgniesz okiem na Poprad i na Roztokę! Kogo droga wiedzie czy rzeczne koryto - jeśli towar wiezie - będzie płacił myto!”

Jedzie ten Rytygier po popradzkiej błoni, jedzie w trzysta koni, srebrną zbroją dzwoni!

Było to prawdziwe i wcale nie w bajce, ominął, gdzie Poprad zlewa się z Dunajcem.

Przyjechał, gdzie Poprad zlewa się z Roztoką - tam górę zobaczył stromą i wysoką. I pomyślał sobie: „Miejsce w sam raz prawie na twoją strażnicę, królu Bolesławie!”

Jak zaczął budować tę wieżę strażniczą - ludzie w okolicy już łez nie policzą!

„Ejże, Rytygierze, gdzież ty masz sumienie, na tylachną górę wyciągać kamienie!”

Ciągnęły je woły, krowy, jałowice na wysoką górę, na wieżę - strażnicę! Padały od tego jak zatrute muchy, aleś ty na skargi ludzi bywał głuchy!

Jak zaczął budować tę wieżę w dwa kręgi, kto źle kładł kamienie, ten dostawał cięgi!

W środku tych dwóch kręgów tęgie będą mury, bo kamienie spajał - jajami od kury!

Kto wie, czy to prawda, kto wie, czy to bajka - wszystkim ludziom zabrał i krowy, i jajka!

„Ejże, Rytygierze, stuknij ty się w główkę, zabrałeś ty wdowie ostatnią jałowkę! Ostatnią jałowkę i ostatnie jajo, już ciebie na wieki ludzie przeklinają!”

Powiedziała wdowa w okropnej żałości: „Niechaj Rytygiera pochłona ciemności!”

Przekleła cię wdowa na miesiąca nowiu - nie będziesz ty chodził, Rytygierze, w zdrowiu!

Idzie raz Rytygier wałem o północy, wtem rogaty kozioł staje mu przed oczy. Lśnią mu się kopyta, gdy stanął na mostku, połyskują rogi w dwanaście odrostków!

Tęgi jakiś kozioł! Straszny zabijaka! Nikt jeszcze nie widział nigdy „dwunastaka”! Takiego tu jeszcze nikt nie widział wcale! Nie był ci to kozioł, a z piekieł - rogałec!

Beknął do rycerza: „Godzina dwunasta - krzywdą stoi wieża - marsz ze mną, i basta!”

Skoczył do rycerza, racicą zadudnił, na rogi go porwał - buch! Przepadli w studni!

Prawią dotąd ludzie, że nasze zamczysko odwiedza północą rycerz - i kozłisko!

Stary Pogwizd skończył i wytrząchnął popiół z fajki, a oni wszyscy siedzieli jeszcze nieporuszeni, nie mogąc się ocknąć od tej opowieści.

- Kasza się przypala! - poderwał się pierwszy Kuba.

- Widzicie go, terminatora, jak się to spisuje! Bajek słucha zamiast kaszy pilnować!

Rozruszali się wszyscy i wspólnie spożywszy wieczerzę, pokładli się spać na piernatach i poduszkach z bukowych liści.

- Ej, bukowe listeczki, nase podusecki! - podśpiewywał grubo i fałszywie Kuba Pogwizd.

- Żeby też porządny człowiek, niczym, nie przymierzając, ten kolczasty jeź na zimę, musiał się zagrzebywać w liściach! - mamrotał Kuba, szeleszcząc swoim posłaniem.

Już wszyscy posnęli, miesiąc dawno skrył się za Radziejową, a Jasiak leżał u boku dziadka, nie mogąc usnąć w żaden sposób.

Snuły mu się przed oczami pakowne węgierskie łodzie i bogate, ładowne wozy z towarem, ciągnące doliną Popradu, srogi rycerz Rytygier, cały zakuty w zbroję, i niesamowity, straszny kozioł - mściciel - „dwunastak”.

Jasiak niby wie doskonale, że to jest podanie, a jednak go niepokoi: „Czy też to był »zły« ten kozioł, czy nie? Przecież ludzi ciemężonych bronił!”

Nie wytrzymał wreszcie i kiedy dziadek poruszył się na posłaniu, trącił go w bok.

- Dziadku!

- He?! Co się stało?...

- Niic, tylko czy ten kozioł na Zamkowej Górze naprawdę się pokazuje?

- Kto się pokazuje?!... Gdzie?! - wrzasnął dziadek wytrzeszczając czerwone, zaspane oczy.

- Nic... Nic... Ten kozioł w ruinach!

- Kozioł w ruinach, a jakże, kozioł! śpij! śpij!

Odwrócił się na drugi bok i zachrapał, pogwizdując mocniej niż za ścianą szałas wiatr w gałęziach.

- To od tego się widać nazywamy - Pogwizdy! Każda rzecz ma swoją przyczynę! - uśmiechnął się Jasiak i przytuliwszy się do dziadkowych pleców, chrapnął nie gorzej od niego.

Przed starą góralską kolibą, budowaną tak jak za dziada pradziada, cieniutka smużka dymu z dogasającego ogniska wpełzała w szafirowe mroki nocy jako jedyny znak obecności ludzi w tym pustkowiu.

OSTATNIE SPOTKANIE

Na drugi dzień od samego rana Jasiak zabrał się gorliwie do roboty. Ogień rozniecił na palenisku, mleko nastawił, wody przyniósł, a kiedy drwale poszli do pracy, ogarnął, jak mógł, legowiska i przytaszczywszy kosz i garnek z wodą, zabrał się do obierania ziemniaków.

Z robotą pozostał w kolibie, bo chociaż na dworze słońce świeciło, ostry, listopadowy wichur przewiewał mu kabacik na wylot, a tu było zacisznie, przyjemnie, pachniało jedliną, słońce wdzierało się do wnętrza szałas złotą strugą, z paleniska na dworze zalatywało jałowcowym dymkiem, a wesół ogieniek skakał i trząsał po gałązkach.

Jasiak bezwiednie zabrał się do obierania ziemniaków, ale myślą bujał gdzie indziej.

- Niech się co chce dzieje, podanie - podaniem, gadka - gadką! Mało to ludzie nabajdurzą o zbójnickich skarbach, co ich złe strzeże, o odmieńcach na koślawych nogach albo i o królu węzów, co ma korony na łbie, jak koguci grzebień, i na własnym ogonie gwizda, w pysk go wraziwszy - tak te węże swoje poddane zwołuje! A one wszystkie lecą do niego na złamanie karku. - Tu Jasiak rozejrzał się bacznie dokoła i nogi podkurczył na wszelki wypadek, gdyby jaki król węzów zechciał mu się do pięt dobrać... - Tak dziadek i insi bajali!... Prawda to to chyba nie jest, ale wszystko jedno ja, jak się tylko na pełnię miesiąca obróci, pójdę o północy na tę Górę Zamkową. Sam się przekonam, czy to prawda o tym kozle, on przecież taki „zły” nie mógł być, jeżeli narodu gnębionego bronił! Nic mi się nie stanie!

Szary ziemniak obracał się w palcach Jaśka jak fryga i białł coraz bardziej a długie, kręte wstęgi obierzyn spływały miękko do koszyka, ale nim dziesiąty ziemniak zdążył chlupnąć do wody, coś niespodziewanie przesłoniło smugę słońca wdzierającą się do szalasu.

Wyrwany ze swoich rojeń, Jasiak odwrócił powoli głowę w stronę wejścia - i skamieniał, a obierany ziemniak wraz z cygankiem klapnął do koszyka z jego obezwładnionych od wrażenia palców.

Zatrząsł się na całym ciele, ale siedział dalej jak przykuty do miejsca, bo nogi pod nim omdlały ze strachu, no i po prawdzie dokąd było uciekać?

Jedynie wejście do koliby zatarasował kozioł w koronie lśniących od słońca, uperlonych rogów.

Jasiak poszerzonymi z przerażenia oczami patrzył na te rogi i bezwiednie liczył ich odrostki.

„Trzy na jednym rogu, trzy na drugim, to razem sześć, a dwa razy sześć to dwanaście - mąciło i plątało mu się w głowie. - To »dwunastak«, - wzdrygnął się cały.

Kozioł na to lekko tupnął przednimi racicami, bez pośpiechu podszedł do kosza i najspokojniej, u samych nóg Jaśka, zaczął wyjadać obierki z dna koszyka.

Tego już było za wiele. Jasiak zerwał się jak oparzony i runął ku wyjściu. Krzyk zgrozy uwiązał mu w gardle.

- Dziadku! Dziadku! - dopadł bez tchu do miejsca, gdzie pracowali drwale.

- Co tam nowego? - zaniepokoił się Pogwizd.

- Złyy!

- Kto „zły”?! Gdzie „zły”?!...

- W kolibie „zły”?! „Rogalec”?!...

- Jaki znowu „Rogalec”?!...

- Z rogami! „Dwunastak”! - wyrzuca ze siebie Jasiek, a broda mu się trzęsie i kolana dygocą. Otoczyli go kołem drwale.

- Co ty pleciesz, chłopaku?!...

- Bajaliście wczoraj, dziadku, coś mu się przywidziało.

- Ale, „przywidziało”! Tylachne ma rożyska i obierki żre!

- A to ci dopiero jakiś dobry „zły”, kiedy obierki żre!

- Łaskawy widać! - gruchnęli śmiechem.

- No i co się stało z tym „złym”? Chciał cię wziąć na rogi jak tego Rytygiera?! - podśmiewał się Kuba.

- Nie, wlaźł do koliby i żre obierki.

- Ano, to pójdźmy obaczyć tego „złego”, chłopcy! - skoczył pierwszy Kuba Pogwizd, a za nim inni i Jasiek z dziadkiem na końcu.

Kiedy dopadli na skraj polany, gdzie stała koliba, u wejścia ukazał się tęgi, ciemnoorzechowy kozioł - „szóstak”, z długą, krętą wstążką obierki ziemniaczanej, zwisającej mu z pyska.

Zobaczywszy ludzi o kilka kroków zaledwie od siebie, uskoczył w bok, niezbyt spieszonym truchcikiem podbiegł do ściany lasu, tu przystanął, odwrócił się do ludzi przodem, uniósł czujnie, głowę i nie spuszczając z nich oka ani na chwilę, zastygł w tej wyzywającej pozie. Jedynie wstążka obierzyny, tańcząc i podrygując, podjeżdżała do góry i znikła stopniowo w jego pysku. W tej chwili dopiero nadbiegli dziadek z wnukiem.

- Ejże, Rogasiu! Stary znajomku, tośmy się znowu spotkali! - zawołał Pogwizd rzuciwszy tylko okiem na kozła. - Co się na mnie wyślipiesz? Życie ci przecie ocaliłem! Niedaleko stąd będzie, zaraz za tą górką, leżało toto pod paprocią jak łachmanek jaki, a oczka mu mgłą zachodziły. Zaraz, kiejże to była? Z pięć roków temu albo i więcej!

- Metryki na rogach nie ma wypisanej! - zaśmiał się Kuba - ale na pięć lat się widzi!

- No, to sami widzicie, że prawdę mówię! A białą łatę na prawym boku, poniżej łopatki, ma na pamiątkę i znaczość po Kluskowym wychowaniu!

- Kto czym wojuje, od tego ginie. U Klusków się chował, kluski mu piętno na boku wyparzyły!

- Też dowód osobisty niezgorszy - przytaknął Kuba - jużem go po nim też rozpoznał! Już ja raz przed nim defiladę odbywałem - harnaś jeden!

Wszyscy się roześmieli, a kozioł dojadłszy już dawno obierki, z wolna odwrócił się od ludzi i nie spiesząc, pociągnął w las.

* * *

Jaškowi nie udało się jakoś tej jesieni odszukać Groty Zimnego Powietrza ani „dwunastaka” ponoć nie spotkał księżycową nocą w ruinach Zamkowej Góry.

Ale wam może się to uda osiągnąć. Przed młodym turystą i krajoznawcą wszystkie drogi stoją otworem.

Rogaś objawił się raz jeszcze, chroniąc własne życie, Jędrkowi Klusce i Jankowi Pogwizdowi, a potem, jak wieść niesie, nawiedzał na niemcowskiej wyżynie pewnego samotnika, ale wreszcie zaginął jakoś słuch o kozle Rogasiu. Chociaż dzieci o niego pytały, chociaż myśliwi bożyli się, że nie padł od żadnej kuli - nikomu więcej już się nie pojawił.

Nawet gajowi nie napotykali go w swoich leśnych rewirach.

Może wilki go osaczyły, kiedy zimową nocą brnął przez zasy śnieżne, może zginął, tak jak matka, od klów i pazurów któregoś z ostatnich podhalańskich tygrysów - rysia, a może...

* * *

Może wy, jeżeli kiedy w radosnej włóczędze krajoznawczej - z plecakiem, lornetką i aparatem - zawędrujecie w lasy radziejowskiego zbocza nad Roztoką czy na Makowicę, za Zamkową Górę nad Popradem i napotkacie na leśnej ścieżce kozła z białą łatą na prawym boku, to bądźcie pewni, że to właśnie on - Rogaś - ocalony przez drwala Jana Pogwizda i wykarmiony cumelkiem przez dzieci gajowego Kluski z Rytra.

SŁOWO OD AUTORA

Rytró - wieś podkarpacka rozłożona malowniczo w dolinach Popradu i obu Roztok - jest nie tylko niezwykle piękna i pełna swoistego uroku, ale dzięki położeniu przy jedynym niegdyś trakcie wiodącym z południa wśród łańcuchów górskich w głąb kraju - jest wraz z pobliskim Starym Sączem po prostu prawdziwą skarbnicą pamiątek historycznych, legend i podań, niewiele dotąd znanych.

Nic też dziwnego, że urocza ta wieś, w dolinie zielonej od lasów, przywabia do siebie zarówno ptaki przelotne, to jest turystów i krajoznawców, którzy z plecakiem przemierzają te strony, jak też i stałych bywalców, którzy zakochani w Rytrze, spędzają tutaj całe wakacje, nieraz od dziesiątków lat, albo też osiedlają się tu na zawsze, pomnażając liczbę stałych mieszkańców.

Książka ta powstała właśnie dzięki przyjaznej pomocy tych ludzi. Muszę więc w imieniu moich kochanych, niezawodnych czytelników i swoim własnym najserdeczniej im podziękować.

Przede wszystkim gorące podziękowanie należy się byłemu, wieloletniemu nadleśniczemu lasów ryterskich - Konstantemu Kowalczykowi, który z wielkim oddaniem i cierpliwością wprowadzał mnie w tajniki miejscowych lasów i przypadki hodowanego w Rytrze koziołka.

Znajdziecie je w tej książce możliwie wiernie oddane, z pewnymi drobnymi zmianami, jakich wymagała kompozycja.

Chcę też wyrazić wdzięczność nauczycielkom miejscowej szkoły, koleżankom Stefanii Laskowskiej i Marii Czechównie oraz Janowej Kluszczyńce, miejscowej gospodyni, za zaznajamianie mnie z ryterską piosenką, gwarą oraz obyczajami wsi i szkoły.

Wiele też zawdzięcza ta książka wiernemu od lat pięćdziesięciu przyjacielowi Rytra, profesorowi Wiktorowi Arvayowi z Krakowa, zamilowanemu kronikarzowi tej ciekawej miejscowości, znawcy jej dziejów, historii i przyrody, oraz młodemu artyście Jaromirowi Chomiczowi, zapalonemu zbieraczowi tutejszych podań i osobliwości, jak również sędziwemu właścicielowi odwiecznego, zabytkowego ryterskiego młyna wodnego, Józefowi Lachnerowi, świadkowi ostatnich napadów niedźwiedzi na ryterskie trzody i podobno udanych prób przedostania się lochami z ryterskiego zamku do Nawojowej.

Słowo serdecznej podzięk, wdzięczności i podziwu należy się też zamilowanym zbieraczom tutejszych pamiątek, twórcom zaczątku muzeum ziemi sądeckiej, którzy mi

udostępniali w każdej porze swoje cenne, z trudem zdobywane zbiory.

Muzeum to zostało założone w Starym Sączu przez prostego człowieka, miejscowego szewca Józefa Paszkiewicza, który całe życie tej sprawie poświęcił.

Dziękuję też pięknie dzieciom ze szkoły w Rytrze, zwłaszcza tym, które ochotniczo poszły zbierać len gromadzki aż pod sam szczyt Makowicy, a w czasie tej ślicznej, społecznej wycieczki potrafiły mnie swoim młodym zapalem zachęcić do pracy nad tą książką.

SŁOWNICZEK WYRAZÓW TRUDNIEJSZYCH

Basior - wilk - samiec.

Bejdok - miejscowa nazwa idioty, kretyna.

Bożyć się - zaklinać się, przysięgać.

Cumelek - miejscowa nazwa smoczka.

Cyganek - kozik, nożyk w drewnianej oprawie.

Dyrdoń - przezwisko używane przez ludność miejscową; znaczy: postrzelony, przygłupi.

Dziopa - dziewczyna.

Falsyfikat (z łac.) - rzecz podrobiona, sfalszowana.

Gwizd - ryj dzika.

Husianka - miejscowa nazwa kołyski z płachty zawiązanej na drągu, używanej w polu i przed domem. Taką kołyskę w innych okolicach kraju, np. na Podlasiu, nazywają „kobyłą”.

Koliba - schronisko pasterskie, szałas.

Parostki - rogi sarny.

Polano - ogon wilka.

Poświetnik - włóczęga.

Rogalec - diabeł.

Scypuł - pochewka skórna, w której wyrastają nowe rogi.

Wyrządny - miejscowa nazwa zbytnika wyrządzającego psoty i szkody.